POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE THREEPENCE

Wychodzi co tydzień | ***Dnia 16-go czerwca 1945r.*** | **Rok VII. Nr. 24**

WIDOK NA EUROPĘ

W Holandii, w maju 1945

Obraz tej części Europy, którą ostatnio widziałem, a więc Francji, Belgii, Holandii i Niemiec jest bardzo złożony. Obok radości widzi się ruiny, obok wolności niezwykły trud codziennego istnienia. Ponad wszystkim zaś panuje dezorganizacja życia poprzedniego. Życie dzisiejszej Europy w niczym nie przypomina życia, które znaliśmy sześć lat temu. Nikt tutaj, w Europie, nie może realnie myśleć o powrocie do stosunków, do jakich był przyzwyczajony przed wojną.

Mimo radości zwycięstwa i wolności na dnie duszy każdego drzemie niepokój i uczucie niepewności. Każdy ma dziesiątki pytań bez odpowiedzi. Dla Europy idą jeszcze długie lata trudów, smutków, niedostatków, niepokojów.

RUINY I RUINY . . .

Jednym z górujących obrazów dzisiejszej Europy jest obraz ruin. Dopiero co miniona wojna wykazała w pełni, jakie są następstwa tak zwanej wojny totalnej. Wszędzie, gdzie istniał przemysł wspomagający niemiecką machinę wojenną został on zupełnie zniszczony, albo co najmniej poważnie uszkodzony. Wszędzie, gdzie nieprzyjaciel stawiał opór, miasta i wsie lub nawet odosobnione zabudowania zostały zrównane z ziemią ogniem artylerii i przez bomby lotnicze. Jedynie miasta i osiedla, które nie wspomagały w ten, czy inny sposób niemieckiej machiny wojennej, wyszły z tych zmagań cało.

Do dziś dnia takie miasta w krajach sojuszniczych, jak Arnhem zioną pustką. Miast zaś takich na terenie Niemiec są setki. Ulice są wyludnione. Czasami tylko przemknie po nich jakiś cywil, by dołączyć do "ogonka" wyczekującego godzinami na przydział żywności.

Z drugiej strony — miasteczka i wsie, których wojna nie naruszyła są przepełnione, licząc ludności trzy czy pięć razy więcej niż dawniej. Do miejscowości tych zbiegli się ludzie ze zniszczonego sąsiedztwa, zaludniły się one uchodźcami, deportowanymi robotnikami cudzoziemskimi, byłymi jeńcami wojennymi. Nawet do najbardziej zabitych kątów w Europie doszły skutki wojny, chociażby przez ten nadmiar ludności tułającej się w poszukiwaniu za mieszkaniem i jedzeniem.

Ostatnia wojna ogarnęła wszystkich bez wyjątku. Teraz, skutki jej odczuwają też wszyscy. U wszystkich też pozostanie jej straszne wspomnienie. Zanim zniszczone miasta powstaną z ruin, dzisiejsze niemowlęta dorosną. I one poznają jaką cenę płaci się za wojnę. Wojna nowoczesna nie oszczędza ani młodych ani starych, ani silnych, ani słabych. Wojna ta nie oszczędza również ani narodów napastniczych, ani tych, które pokój przedkładały ponad wszystko, ani państw zwycięskich, ani zwyciężonych.

Czy Europa potrafi wyciągnąć wnioski z tych doświadczeń?

LUDZIE BEZ ZIEMI

Obok obrazu ruin drugim charakterystycznym widokiem dzisiejszej Europy są ludzie bezdomni, ludzie z dala lub bez ojczyzny.

Oddziały wojsk sojuszniczych, posuwające się szybko naprzód w ostatnich tygodniach wojny oswobadzały z niewoli niemieckiej tysiące tych ludzi. Gdy jeszcze w czasie działań wojennych przemierzałem dziennie setki kilometrów, wszędzie widziało się wzdłuż dróg niekończące się sznury mężczyzn, kobiet i dzieci ciągnących w różnych kierunkach. "Orzełki" lub kokardki naprędce gdzieś zdobyte mówiły o ich przynależności. Szli Polacy, Rosjanie, Francuzi, Jugosłowianie. Widziało się Belgów, Holendrów i Włochów. Ci ludzie "bez ziemi" cały swój dobytek mieli w maleńkich zawiniątkach.

Obecnie ta wędrówka ludów została powstrzymana. Część ludzi pozostawiono w poprzednich obozach jenieckich lub obozach pracy, część osiedla się w nowych obozach organizowanych przez alianckie zarządy wojskowe. Ostatnio byłem w takim osiedlu, zorganizowanym w jednym z miasteczek niemieckich. Miasteczko to podzielone zostało na trzy dzielnice: polską, rosyjską i niemiecką. Dzielnice te zostały ściśle rozgraniczone i każda z nich żyje własnym życiem, pod własnym zarządem.

W osiedlu tym jest polski oficer repatriacyjny sprawujący władzę przy pomocy dobranych przez siebie ludzi. On kłopocze się o wyżywienie, zakwaterowanie, o porządek i o urozmaicenie — o ile to możliwe w tych warunkach — życia codziennego tej "małej Polski," liczącej około trzech tysięcy Polaków, pozbieranych po różnych drogach. W dzielnicy polskiej ulice niemieckie otrzymały nowe nazwy uwidocznione na biało-czerwonych tabliczkach. Jest więc aleja Wolności, ulica Sikorskiego, Stefana Batorego. Jest też tu polska policja porządkowa uzbrojona w gumowe pałki. Powstała szkoła, w której uczy się 50 dzieci polskich. Zorganizowano świetlicę harcerską i ośrodek sportowy.

Mimo znośnych warunków życia smutny widok przedstawia ta wyspa polska wśród morza obcego. Przypomniały mi się "Wierzby nad Sekwaną." Jednym pragnieniem tych ludzi jest powrót do Polski, ale powrót do Polski — polskiej. Z tego problemu wszyscy zdają sobie sprawę. Młodzież drogę powrotu widzi w szeregach wojska polskiego, do którego rwie się, jak tylko Polak to potrafi — i w którym chciałaby znaleźć się zaraz, natychmiast.

WEWNĘTRZNE KŁOPOTY PAŃSTW

Życie wewnętrzne oswobodzonych krajów, jak Francji, Belgii i Holandii stoi pod znakiem radości spotkań krewnych i znajomych po latach rozłąki, jak również pod znakiem smutku z powodu wiadomości donoszących o śmierci bliskich w obozach niemieckich oraz nadziei na powrót zaginionych. Te sprawy są tematem wielu rozmów. Jedni się cieszą i opowiadają w jak fantastycznych okolicznościach ojciec odnalazł syna, mąż żonę, przyjaciel przyjaciela. Drudzy znów ze łzami powtarzają szczegóły śmierci męczeńskiej swoich bliskich, zasłyszane od przypadkiem napotkanego towarzysza niedoli. Wielu żyje nadzieją, że "on" jeszcze powróci, że może Bóg da . . .

Obok tego toczy się szare życie codzienne w pogoni za chlebem. Wystawanie w "ogonkach" po sześć godzin dziennie, by otrzymać swój przydział żywności. W wielu rodzinach jeden z jej członków nie chodzi do pracy, a głównym jego zadaniem jest troska o aprowizację reszty rodziny. Ma on najtrudniejsze i najcięższe zajęcie. W takich warunkach "czarny rynek" kwitnie we wszystkich tych krajach. W Belgii można "na lewo" dostać dosłownie wszystko, czego nie widziało się w składach w czasie całej wojny. Powstają nowe fortuny czarnogiełdziarzy i wojennych dorobkiewiczów.

Chaos i nienormalność warunków życia w każdym z tych krajów, które widziałem, powiększa ustawiczna jeszcze pogoń za ludźmi, którzy współpracowali z okupantem. W pogoni tej często nie ma żadnych zasad postępowania, ani ścisłego określenia kogo uważa się za "kollaboranta". Starczy, że jedna zawistna sąsiadka rzuci oskarżenie na drugą, by zaczęło się polowanie na ofiarę plotki, małomiasteczkowej intrygi.

Gdy pewnego razu rozmawiałem na te tematy z jakimś Belgiem, postawił on po prostu zasadę:— "Trzeba wyłapać tylko wielkich "kollaboracjonistów," a jakoś sprawę ułożyć z mniejszymi. Niepodobna przystępować do odbudowy kraju, wrzucając wszystkich do więzień."

Tak, wydaje się, że w wielu krajach, w wielu miastach i miasteczkach trudno było by rozpocząć nowe życie, nie stawiając takiej zasady.

NIEMCY

Przedstawiając szkicowo obraz Europy dnia dzisiejszego najtrudniej chyba opisać sylwetkę Niemca po klęsce. Trudno zrozumieć procesy myślowe i uczuciowe, przez które przeszedł. Sylwetka Niemca odbiega krańcowo od tego, cośmy sobie zwykle byli wyobrażać, zanim żołnierz Sprzymierzonych znalazł się na ziemi niemieckiej. Nie widać dziś śladów buty "narodu panów," nie ma oznak jakiegoś zorganizowanego oporu podziemnego lub choćby samorzutnego oporu biernego. Niemcy robią wrażenie ludzi niesamowicie zmęczonych wojną i niepragnących niczego innego, jak spokoju. Duma ich, zarozumiałość i pewność własnej rzekomej wyższości przerodziły się obecnie w służalczość, uniżoność. Gdy tylko zwrócić się do nich o jakąkolwiek informację, gdzie na przykład jest ta a ta ulica — z chęcią, z niezwykłą skwapliwością udzielają wyjaśnień, starając się przy lada okoliczności zapewnić, że "on nie był nigdy hitlerowcem," że "on przewidywał, iż tak musi skończyć się ta wojna." Nie wyobrażam sobie, aby w Polsce ktoś tak chętnie udzielał jakichkolwiek wiadomości obcemu żołnierzowi.

Jeden z Polaków, który był na robotach u "bauera" opowiadał mi w jak ciężkich warunkach musiał u niego pracować przez trzy lata, ledwo co dostając do jedzenia. — "Teraz — powiedział z uśmiechem — gdy nadeszła ta liberacja tom sobie stale leżał w łóżku, a mój "bauer" przychodził co chwila a pytał się tylko, czybym sobie czego nie zjadł." Tak szybko Niemiec zmienił stosunek do swego dawnego parobka—i to pochodzącego z narodu "*undermenschów.*"

Obok uniżoności, służalczości — dzisiejszych Niemców charakteryzuje donosicielstwo. Widziałem jeden z jego dowodów na piśmie, które otrzymał dowódca polski okupujący jedną z miejscowości niemieckich, niedaleko Wilhelmshaven. W piśmie tym podpisanym przez sołtysa niemieckiego "miejscowa ludność donosi, aby zapewnić spokój zwycięskim wojskom polskim, że taki i taki S.S.- men ukrywa się tam a tam."

Dowód ten wykazuje jak nisko upadł moralnie naród niemiecki karmiony przez przeszło dziesięć lat brutalną ideą siły i kłamstwem.

PRZYSZŁOŚĆ EUROPY

Jadąc parę miesięcy temu na Kontynent, w myśli formowałem sobie wiele pytań, na które chciałem tutaj, na miejscu znaleźć odpowiedzi. Pytania te dotyczyły przyszłości Europy. Zastanawiałem się, czy przez te sześć lat okupacji Europy przez jeden naród powstało jakieś uczucie wspólne, jakaś wspólna wiara czy mit, ożywiający masy, na którym można by było budować przyszłość tej części świata. Zastanawiałem się, czy przeżyte przez narody europejskie wspólne walki, przeżyte wspólne cierpienia i nadzieje zrodziły wśród nich nowe uczucie solidarności, poczucie spólnoty europejskiej ponad wszelkie rozdziały oraz zrozumienie współzależności i konieczności współpracy.

Pytania te pozostały dla mnie do dziś dnia bez pozytywnej odpowiedzi. Europa oprócz obrazu zniszczenia materialnego przedstawia obecnie obraz zniszczenia także moralnego oraz dezorganizacji. Jedynie wierząc w siłę kultury i tradycji europejskiej, można mieć nadzieję, że stan ten jest przejściowy.

WITOLD LEITGEBER

OŚWIADCZENIE NACZELNEGO WODZA

Na prośbę "Polski Walczącej" Naczelny Wódz gen. dyw. Tadeusz Bór-Komorowski nadesłał następujące oświadczenie:

Siły Zbrojne walczącej Polski, zarówno w Kraju, jak na obczyźnie dały przykład najwyższej ofiarności, męstwa i dyscypliny. Ten przykład przyświecać winien ogółowi naszego społeczeństwa, w którym każda jednostka jest żołnierzem, walczącym o wolną Polskę, jeżeli nie orężem, to najwyższym nakładem pracy.

4.VI.45

Bór Komorowski
Gen

O ŻOŁNIERZU WARSZAWSKIM

Zdawało się, był lekki i w trumnie swej wąskiej
Niewiele miejsca żywym na świecie zabierze.
Wykopali go, wieźli, szedł tłum na Powązki,
Lecz hełm pod krzyżem został zwalonym na skwerze.

I gdy spoczął na zbiórce pod ziemią spokojnej
I, jak wszyscy polegli na wszystkich cmentarzach,
Duchem wyszedł meldować o sprawach tej wojny
Wodzowi wojsk niebieskich na tronie, przy strażach —

Stanął nagle, coś sobie przypomniał w szeregu
I wyłamał, w przeciwną skierował się stronę,
I żadna moc nie mogła zatrzymać go w biegu,
I krzyknął tylko innym: nie wszystko skończone.

Schodził na dół milczący, przez kraj wracał płaski,
Wszedł do miasta, hełm znalazł i stanął na skwerze.
Podchorąży Listopad? Nie, żołnierz warszawski,
Co jeszcze wiele miejsca na świecie zabierze.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

Przegląd tygodniowy

PRZED SPOTKANIEM WIELKIEJ TRÓJKI

Przeżywamy okres podobny do ostatnich tygodni przed Jałtą. Świat żyje w oczekiwaniu spotkania przywódców trzech wielkich mocarstw, na którym mają znów zapaść jakieś doniosłe postanowienia.

Trwają jednocześnie ożywione pertraktacje, które mają przygotować to spotkanie. Prasa pełna jest pogłosek i domysłów. Misja przedstawiciela prezydenta Trumana w Moskwie — miała przynieść jakieś wyniki. Jeden z nich nie ulega wątpliwości. Jest nim zmiana stanowiska Rosji na konferencji w San Francisco w sprawie veta. Inne pozostają w sferze domysłów. Niektórzy korespondenci twierdzą, że osiągnięto jakiś kompromis w sprawie polskiej, nie ujawniając jednak niczego konkretnego. Miejmy nadzieję, że ustępstwo Rosji w sprawie veta nie ma z zagadnieniami, dotyczącymi Polski nic wspólnego.

Przyjęcie przez Rosję proponowanej przez Stany Zjednoczone i W. Brytanię formuły veta wielkich mocarstw uratowało konferencję w San Francisco. Poprzednie stanowisko Rosji zahamowało, jak wiadomo, zupełnie jej pracę. Mocarstwa zachodnie broniły stanowczo poglądu, że jedno państwo nie może przy pomocy swego sprzeciwu, uniemożliwić samo przedstawienia sporu międzynarodowego Radzie Bezpieczeństwa i rozpatrzenia go przez tę Radę. Zachodziła obawa, że wobec niemożności osiągnięcia zgody w tej tak ważnej sprawie — San Francisco stanie się "San Fiaskiem". Obecnie losy konferencji są uratowane, choć stanowisko mniejszych narodów — z zasady przeciwnych prawu veta wielkich mocarstw — nie jest jeszcze w pełni znane. W każdym bądź razie przyjęta obecnie formuła jest dużym ustępstwem na rzecz mniejszych państw.

Innym szczęśliwie zakończonym sporem jest sprawa Triestu, gdzie sprzymierzeni zachodni zdołali również przeprowadzić swój punkt widzenia, utrzymując zasadę, że zbrojne zajęcie jakiegoś terytorium nie przesądza prawa władania nim, że spory terytorialne nie mogą być rozstrzygane przed konferencją pokojową. Niestety zasady tej nigdy wyraźnie nie zastosowano — w sposób oczywiście teoretyczny — do polskich Ziem Wschodnich, położonych na zachód od Linii Curzona. A przecież w Wilnie powinno chyba obowiązywać to samo prawo, co w Trieście.

WOJNA I OKUPACJA

Wojna nie zawsze toczy się zgodnie ze z góry opracowanymi planami. Gdy jeszcze wchodzi w grę plan strategiczny możemy się liczyć z jego mniej lub więcej ścisłym wykonaniem. Trudno jednak wymagać od dowódców w polu, by kierowali operacjami zgodnie z planem przyszłych stref okupacyjnych i liczyli się w działaniach z wykreślonemi na mapie liniami podziału.

Dla tego też rozkaz zaprzestania ognia zastał wojska alianckie nie tak rozmieszczone, jak tego chciała europejska komisja doradcza, urzędująca w Londynie. Berlin i Wiedeń które miały się znaleźć we spólnym posiadaniu trzech mocarstw i pozostawać pod wspólną okupacją oraz wspólną administracją — zostały zajęte przez Rosjan. Z drugiej strony wojska amerykańskie i brytyjskie daleko przekroczyły zachodnie granice rosyjskiej strefy okupacyjnej.

Taki stan rzeczy powinien w normalnych warunkach być czymś najzupełniej zrozumiałym i nie nastręczać żadnych trudności. Tymczasem minął już miesiąc od czasu zakończenia wojny, a sytuacja — mimo licznych wysiłków ze strony mocarstw anglosaskich — pozostaje nadal niewyjaśniona.

Spotkanie przedstawicieli czterech mocarstw było ważnym krokiem formalnym w dziedzinie wprowadzenia w życie zasady wspólnej administracji Rzeszą, ale nie dało jeszcze spodziewanych wyników praktycznych. Generał Eisenhower, marszałek Montgomery, marszałek Żukow i generał de Lattre de Tassigny podpisali w Berlinie umowę poddającą Rzeszę niemiecką Hitlera, pod zarząd czterech mocarstw, którym podporządkowane będą wszelkie przejawy życia Niemców. Ta umowa, a raczej deklaracja zawiera warunki kapitulacji Rzeszy, omawia politykę czterech mocarstw w stosunku do niej oraz sposoby kontroli.

Ta deklaracja jest niczym innym, jak spisaniem warunków, na jakich nastąpiło zakończenie działań wojennych przeciw Rzeszy. Ponieważ na terenie Niemiec nie istniała w chwili ich ostatecznego upadku żadna władza, która mogłaby przyjąć na siebie odpowiedzialność za wprowadzenie w życie tych warunków i utrzymanie porządku — cztery mocarstwa podejmują się wszelkich funkcji administracyjnych w Rzeszy i będą sprawować pełną władzę nad jej obywatelami. Jest to olbrzymi zakres władzy składający się z kompetencji wojsk okupacyjnych powiększonej o uprawnienia, jakie posiadał rząd niemiecki, niemieckie naczelne dowództwo oraz lokalne autorytety.

Celem uzgodnienia polityki sprzymierzonych w stosunku do okupowanych Niemiec powstaje Rada Kontroli złożona z czterech dowódców alianckich oraz ich doradców politycznych. Postanowienia Rady zapadać będą jednomyślnie. Pod względem administracji Niemcy będą podzielone na pięć stref: wschodnią pod zarządem Rosji, północno-zachodnią pod zarządem brytyjskim, południowo-zachodnią, przypadającą Ameryce, zachodnią — Francji oraz Wielki Berlin, okupowany wspólnie i rządzony kolejno przez przedstawicieli czterech mocarstw. Poza tym deklaracja zatwierdza wykonane już częściowo postanowienia, dotyczące losu żołnierzy niemieckich sił zbrojnych oraz niemieckiego sprzętu, samolotów, okrętów, broni, zakładów przemysłu wojennego, które zostają przejęte przez sprzymierzonych.

Deklaracja jest w pewnym stopniu zatwierdzeniem istniejącego stanu rzeczy i stwarza formalne podstawy do absolutnej pełni władzy, sprawowanej w okupowanej Rzeszy przez sprzymierzonych. Nie dotyczy ona jednak zasadniczych zagadnień, związanych z klęską Niemiec, które rozstrzygnięte będą przez konferencję pokojową dopiero w przyszłości. Do takich problemów należy na przykład sprawa finansowych odszkodowań, które poniesie Rzesza. Zostaną one ustalone później.

Należy również zwrócić uwagę na to, że przyjęcie za podstawę granic Rzeszy z 1937 roku, ma wyłącznie charakter technicznego ułatwienia. Deklaracja wyraźnie stwierdza, że wszystkie jej postanowienia nie stanowią aneksji Niemiec. Granice Rzeszy zostaną zadecydowane dopiero przez konferencję pokojową.

POŁOWA NIEMIEC DLA ROSJI

Spotkanie czterech dowódców nie dało rezultatów, których spodziewano się na Zachodzie. Na ogół liczono, że konferencja zainauguruje Radę Kontroli, która odtąd rozpocznie urzędować na stałe. Przedwczesny odjazd Montgomery'ego i Eisenhower'a położył jednak kres tym przypuszczeniom. Według przypuszczeń prasy londyńskiej Rosjanie nie zgodzili się na przekazanie władzy konferencji, domagając się, by wojska amerykańskie i brytyjskie opuściły wpierw tereny Rzeszy, wchodzące w skład rosyjskiej strefy okupacyjnej.

Następnego dnia prasa moskiewska opublikowała mapę przedstawiającą granice sowieckiej okupacji. Zgodnie z tą mapą Amerykanie musieliby cofnąć się na niektórych odcinkach o sto kilkadziesiąt kilometrów. Turyngia, Saksonia, Meklenburgia i Anhalt przypadają Rosjanom, którzy zajmą w ten sposób połowę Rzeszy niemieckiej.

Mapa ta nie została zakwestionowana przez Londyn i Waszyngton. Uznano powszechnie, że ogłoszenie granic okupacji winno być dokonane wspólnie przez Komisję Kontroli, a nie przez jedno z mocarstw okupacyjnych.

Podobne trudności istnieją w Wiedniu, który również ma być podzielony na strefy okupacyjne i wspólnie administrowany. Tymczasem jednak funkcjonuje tam rząd austriacki, nieuznawany przez Brytyjczyków i Amerykanów. Po długim oczekiwaniu dostali się wreszcie do Wiednia wojskowi przedstawiciele alianckich komisji kontrolnych, ale ta wizyta bynajmniej nie stanowi jeszcze rozpoczęcia prac wspólnej Komisji Kontroli.

POTRZEBA KOORDYNACJI

Konieczność jak najszybszego ujednostajnienia polityki aliantów wobec Rzeszy wydaje się tym bardziej pilna, że coraz wyraźniejsze różnice są w traktowaniu Niemców na wschód i na zachód od Łaby. Gdy alianci zachodni trzymają się ściśle zakazu niebratania się, który jest nieocenioną metodą wychowawczą w stosunku do butnych Niemców — audycje radia berlińskiego robią wrażenie, że w stolicy Rzeszy panuje absolutna sielanka. Nie wiadomo jak ta sytuacja wygląda w rzeczywistości, ale jest rzeczą niewątpliwą, że oficjalna polityka rosyjska wobec Rzeszy daleko odbiegła od owych czasów, gdy Ilia Ehrenburg groził krwawą łaźnią narodowi niemieckiemu, który w całości ponosi odpowiedzialność za zbrodnie popełnione przez niemieckich okupantów w Rosji.

Sprawa traktowania może mieć i ma oczywiście poważne znaczenie polityczne i na Zachodzie padły już głosy przestrogi przed możliwością wyścigu w pozyskiwaniu względów niemieckich. Ale poza kwestią polityczną jest jeszcze nie mniej ważne zagadnienie gospodarcze.

Tereny okupowane przez Rosjan mają charakter rolniczy. Były one śpichrzem Rzeszy. W ręce Brytyjczyków i Amerykanów wpadły największe — poza Śląskiem — ośrodki przemysłowe. Są to przeludnione obszary zachodnich Niemiec, które w żadnym wypadku nie mogą być samowystarczalne. Rzesza stanowiła pewien zwarty organizm gospodarczy, którego współzależności nie mogły uwzględnić żadne podziały na strefy okupacyjne. Koordynacja polityki gospodarczej aliantów wobec Niemiec wydaje się przeto niezbędna — w przeciwnym bowiem razie na W. Brytanię i Stany Zjednoczone spadłby niemiły ciężar żvwienia przeludnionych Niemiec zachodnich.

Istnieją nadzieje, że wkrótce już podjęte zostaną jakieś wspólne wysiłki gospodarcze. Z drugiej jednak strony rozeszły się niepokojące pogłoski, że Rosjanie poczynają już przebudowywać niemieckie linie kolejowe, co świadczyłoby, że zamierzają oni włączyć wschodnie Niemcy we własny organizm gospodarczy.

ZASTĘPCA

Wojna na morzu

A JEDNAK JESZCZE . . .

Oficjalnie wojna skończyła się 8 maja. Ale wojna na morzu na wodach europejskich zakończona została rozkazem admiralicji dopiero 20 dni później. Bowiem w dniu 28 maja skasowane zostały różne zarządzenia i przepisy bezpieczeństwa, jak n.p. zaciemnianie okrętów i wybrzeży, tajność nazw, a także żegluga przymusowa w konwojach eskortowanych.

Tym nie mniej wojna na morzu trwa. Kilka niemieckich okrętów podwodnych wciąż działa. Jeden z nich zatopiony został niedawno przez własną załogę u brzegów Portugalii. Są pogłoski, że japońskie okręty podwodne pojawiły się na Atlantyku. No i są miny, wprost w fantastycznych ilościach. Podobno tylko u brzegów Norwegii jest ich około miliona.

Długie lata żegluga będzie zawierała pierwiastek niebezpieczeństwa. Miny nowych typów są bowiem trudne do odnalezienia i unieszkodliwienia. Wzbudzane magnetycznie lub pod wpływem fali ciśnienia wytworzonej przez okręt, mogą leżeć latami aż zdarzy się okazja . . . Na szczęście miny tego typu istnieć mogą tylko na małych głębokościach.

W IZBIE GMIN

Poseł socjalistyczny Ivor Thomas zapytał w Izbie Gmin Churchilla czy okręty wojenne wypożyczone Rosji zostaną obecnie zwrócone albo użyte do . . . wojny z Japonią. Churchill odpowiedział, że nie może obecnie okrętów tych odbierać, bo byłoby to aktem nieprzyjaznym. I dodał, że wobec konieczności udzielenia Rosji pomocy na wodach arktycznych okręty te przysłużyły się wspólnej sprawie. Gdyby nie to, należało by Rosji dać trzecią część floty włoskiej, a ta nie nadawała się do służby na wodach arktycznych,

O przekazaniu tych okrętów swego czasu pisaliśmy. Były to: pancernik "Royal Sovereign" budowy 1914 roku /29.000 ton/, krążownik amerykański "Milwaukee" /7000 ton/, 9 starych ex-amerykańskich kontrtorpedowców /w tym jeden nieoperacyjny/ i 4 okręty podwodne typu zbliżonego do naszego "Sokoła". Jeden kontrtorpedowiec i jeden okręt podwodny zginęły w walce z Niemcami.

Nie ulega wątpliwości, że okręty te przysłużyły się sprawie aliantów, zdjęły z nich bowiem ciężar eskortowania konwojów i patrolowania na wodach sowieckich. Natomiast okręty włoskie, które miały być przyznane Rosji, pozostały na zachodnich wodach. Nie ulega wątpliwości, że nowoczesna flota włoska posiadała pod każdym względem większą wartość bojową.

W związku z tą sprawą odbył się w Izbie Gmin ciekawy dialog:

Poseł Rhys Davies: Czy Premier nie zapewnił nas, że nie będzie przewodniczył likwidacji Imperium Brytyjskiego? A przecież oddanie tych okrętów jest czymś w tym rodzaju . . .

Premier Churchill: Przeciwnie — powiększyło to moc Imperium.

Poseł Davies: Czy nasz Wielce Szanowny Przyjaciel gotów jest zapewnić nas, że jutro nie podaruje pułku strzelców walijskich marszałkowi Tito?

Churchill: Jestem dość ostrożny w swych wynurzeniach. Ale mogę bez obawy zapewnić mego Szanownego Przyjaciela, że to nie nastąpi.

PIEKIELNE WYNALAZKI

Dopiero teraz wychodzi na jaw szereg wynalazków niemieckich w dziedzinie wojny na morzu. Na czoło ich wysuwa się torpeda elektryczno-akustyczna. Od takiej torpedy zginął w październiku 1944 roku O.R.P. "Orkan".

Torpeda elektryczna ma tą przewagę nad torpedą pneumatyczną, że nie pozostawia na wodzie żadnego śladu, jest więc niedostrzegalna. Można ją nastawiać na różne przebiegi, nawet okrężne lub zygzakowate. Specjalny przyrząd akustyczny, czuły na pracę śrub okrętu, prowadzi torpedę do celu. Innymi słowy goni ona okręt, do którego jest wystrzelona.

Istniały też torpedy dalokierowane — na szczęście dopiero w początkowym stadium próbnych działań. Istniały dalokierowane ścigacze z ładunkiem wybuchowym. Było kilka typów t.zw. żywych torped, a także kilka typów miniaturowych łodzi podwodnych.

Nowoczesne niemieckie okręty podwodne dzięki przyrządowi "Schnorkiel" mogły się poruszać pod wodą z szybkością 16 — 17 węzłów, co dawało możność ścigania pod wodą większości konwojów. Gdyby Niemcy zdołali na szerszą skalę uruchomić to wszystko, wojna w najlepszym wypadku potrwałaby znacznie dłużej. W najgorszym . . . Hitler by ją wygrał.

Dziś już wiadomo, że Hitler nie odważył się na inwazję Anglii jedynie wskutek opinii swych sztabowców. Twierdzili oni, że nie można zapewnić bezpieczeństwa i dowozów niemieckim oddziałom desantowym tak długo jak brytyjska marynarka istnieje i działa. Sama "Luftwaffe" nie dawała pewności zwycięstwa nad marynarką i lotnictwem brytyjskim wziętymi razem.

Hitler postanowił tedy bombardowaniem powietrznym i okrętami podwodnymi osłabić odporność Anglii pod każdym względem. Liczył na zniszczenie lotnictwa brytyjskiego i na pozbawienie go zasobów oraz sprzętu. Jednakże "Royal Navy" nietylko do tego nie dopuściła, ale też przewoziła z każdym miesiącem więcej samolotów i benzyny przez ocean. I dzięki niej lotnictwo brytyjskie nie tylko nie zginęło, ale rozwinęło się do swej dzisiejszej potęgi.

Zawiedziony w nadziejach, a borykający się z brakiem surowców strategicznych /również dzięki morskiej blokadzie brytyjskiej/ Hitler, postanowił rzucić się na Rosję. To go zgubiło ostatecznie.

NA PACYFIKU

Od brzegów Borneo aż po Aleuty grzmią dziś działa. Ale już same operacje na wyspach Okinawa wskazują, że zadanie dla obu stron nie jest łatwe. Silne uzbrojenie przeciwlotnicze okrętów sojuszniczych — szczególnie amerykańskich — sprawiło, że Japończycy nie mogąc skutecznie przeciwdziałać bombardowaniem normalnym z samolotów, zaczęli używać przeciwko okrętom tak zwanych samolotów samobójczych.

Pilot takiego samolotu ginie, rzucając się ze swą maszyną na okręt przeciwnika. Wielu Japończyków jednak zginęło, zanim zdołali osiągnąć cel.

POLSKA MARYNARKA WOJENNA

Cyfra strat w tej wojnie, podana przez Admiralicję Brytyjską, wynosić ma około 730 okrętów wojennych. Polska wymieniona jest ze stratą 5 okrętów. Z przykrością stwierdzamy, że cyfra ta jest błędna, nawet gdy chodzi o bezpośrednią współpracę z *Royal Navy* na wodach zachodnich. Widocznie w dziale informacyjnym Admiralicji nie wzięto pod uwagę, że wojna wybuchła w Polsce 1 września /nie zaś 3-go/, a także zapomniano zupełnie o Bałtyku. W istocie Polska Marynarka Wojenna straciła w tej wojnie 22 okręty, a jeśli liczyć dwa pomocnicze poławiacze min, wzięte z marynarki handlowej — to 24.

O.R.P. "Porun" uczestniczył w oswobodzeniu Norwegii, przyjmowany entuzjastycznie przez ludność i ugrupowania polskie.

JULIAN GINSBERT

Z tygodnia na tydzień

2 czerwca: Gen. de Gaulle oświadczył, że Francja gotowa jest do rokowań w sprawach Bliskiego Wschodu jako całości, ale nie zgadza się na rokowania jedynie w sprawie Syrii i Libanu.

4 czerwca: Ogłoszono tekst listu Dowódcy 15 Grupy Armii gen. Mark Clarka do Dowódcy II-go Korpusu gen. Szyszko-Bohusza, w którym gen. Mark Clark powiedział m.in.: "Zdobycie klasztoru w Monte Cassino okryło oręż polski sławą i zjednało mu szacunek całego świata. Proszę Pana Generała o zapewnienie wszystkich żołnierzy II-go Korpusu w moim imieniu, że wspominamy z podziwem Wasz udział w rozbiciu linii Hitlera i linii Gustawa".

—W Kairze rozpoczęła się konferencja przedstawicieli Ligi Panarabskiej dla omówienia sytuacji w Syrii i Libanie.

5 czerwca: Przedstawiciele naczelnych dowództw Stanów Zjednoczonych, W. Brytanii, Francji i Rosji: gen. Eisenhower, marsz. Montgomery, gen. de Lattre de Tassigny i marsz. Żukow podpisali w Berlinie deklarację stwierdzającą klęskę Niemiec i przejęcie władzy nad Rzeszą przez przedstawicieli czterech mocarstw. Dla celów okupacji przyjęto granice Rzeszy z przed 31 grudnia 1937 r.

6 czerwca: Sowiety opublikowały mapę podającą obszary okupacyjne. Według mapy Sowiety mają okupować połowę całego terytorium Rzeszy.

—Ogłoszono, że Brazylia jest w stanie wojny z Japonią. Zerwanie stosunków dyplomatycznych nastąpiło 28-go stycznia 1942 r.

—Naczelne Dowództwo Sprzymierzonych ogłosiło listę strat sprzymierzonych wojsk lądowych od początku inwazji kontynentu t.j. od 6.6.44 r. do 8.5.45 r.

7 czerwca: Król Haakon VII powrócił do Norwegii.

—Ogłoszono, że Niemcy straciły ponad 700 okrętów podwodnych.

8 czerwca: Radio japońskie ogłosiło, że Japonia będzie rządzona przy pomocy dekretów imperialnych z pominięciem parlamentu. Wprowadzono szereg drastycznych zarządzeń w obawie przed inwazją.

9 czerwca: W Belgradzie nastąpiło podpisanie umowy pomiędzy rządami Stanów Zjednoczonych, W. Brytanii i rządem marsz. Tito, dotyczącej okupacji okręgu Triestu.

10 czerwca: W Frankfurcie nad Menem nastąpiło ponowne spotkanie gen. Eisenhowera, marsz. Montgomery'ego i marsz. Żukowa.

KOMUNIKAT

Dyrekcja Państw. Niższej Szkoły Rolniczej przy West of Scotland Agricultural College w Glasgowie podaje do wiadomości, że termin zamknięcia zgłoszeń na rok szk. 1945/46 upłynął z dniem 30 kwietnia b.r.

Zgłoszenia nadesłane po tym terminie nie będą uwzględniane.

Dyrekcja
Państw. Niż. Szkoły Rolniczej.

Apel w Oświęcimiu

II.*

Jak później się okazało, zwolnienie Śliwińskiego było rzeczywiście na najlepszej drodze. Lecz wieczorem zbrakło profesora na apelu.

Podczas ustawiania się bloków w dziesiątki, pierwszy zauważył jego nieobecność "sztubowy" Pawłowski. Miniony dzień chociaż spokojniejszy niż poprzednie, nie zdołał mu przywrócić utraconej równowagi. Z roztrzęsionymi rękoma i z rozbieganymi oczyma począł nerwowo rozpytywać współtowarzyszy o Śliwińskiego. Nikt nic nie wiedział. Znając schorzenie profesora, "sztubowy" pobiegł do latryny. Tłoczyło się tam dużo ludzi, przekleństwami i wyzwiskami przynaglających do pośpiechu tych, którzy się załatwiali. Ale wśród nich nie było profesora.

—Apel — krzyknął Pawłowski.

I ze strachem zjeżonym w brzuchu pognał szukać *Capa*, dozorującego przy rozbiórce domów. Znalazł go na placu przy piątym bloku. *Capo*, tęgi, dobrodusznie wyglądający, brzuchaty Niemiec przybladł, gdy dowiedział się, że jednego z robotników brakuje.

—Wszyscy wrócili — zakrzyczał ostro. — Wszystkich liczyłem.

Wzrok "sztubowego" skosił się w kierunku głębi placu, gdzie gromadzili się SS-i. Wzrostem i smukłą postawą wyróżniał się pomiędzy nimi Hans Kreutzmann.

—Jak wyglądał ten drań? — spytał *Capo*.

Ale raptem Pawłowski całkiem zapomniał, jak profesor wyglądał. W jego mózgu stało się pusto i w tej przerażającej próżni kołował tylko strach. Zdenerwowany Niemiec, widząc ogłupiałą twarz "sztubowego", wyrżnął go w policzek.

Tymczasem wśród SS-ów wszczął się ruch. Paru z nich zdążało już ku szeregom. Pawłowski momentalnie zawrócił w stronę swego bloku. Chociaż ciągle nie pamiętał wyglądu profesora, od razu, gdy tylko przebiegł oczami po szeregach, wiedział, że go nie ma. Więźniowie także już zauważyli nieobecność jednego ze współtowarzyszy i wśród dziesiątek wszczęło się bezgłośne zaniepokojenie. Ale ani *Capo*, ani Nadolny o niczym jeszcze nie wiedzieli. Za to *Untercapo* natychmiast spostrzegł "sztubowego", pośpiesznie zdążającego ku swojemu miejscu w szeregu.

—*Halt* — krzyknął.

Dopadł go paru kocimi skokami i chwyciwszy za drelichową kurtkę począł potrząsać nim i tłuc po głowie gumową pałką. Z lewego skrzydła, gdzie stał pierwszy blok, dobiegały krzyki komendy. Zaczynał się apel.

Gdy Pawłowski zdołał z siebie wykrztusić fatalny raport, smagła twarz *Untercapa* pociemniała. Puścił "sztubowego" i wkopnąwszy go w szeregi, zawrócił ku Schrederowi. Uwolniony Pawłowski szybko wślizgnął się na swoje miejsce. Nikt na niego nie spojrzał. Siedmiuset więźniów trzeciego bloku stało wyprężonych na baczność. Cisza stała się martwa i ciężka, podobna do tej, która towarzyszyła wczorajszej egzekucji. Zbliżające się krzyki SS-ów pogłębiały to milczenie. Dokoła ciemniała noc. Jej ogromny i wyniosły wał gęstniał, a gdzieś w tej głębi podrywał się chwilami ostry wiatr.

Capo Schreder stał już na swoim miejscu z lewej strony dziesiątek. Za nim Nadolny. Mocna, poryta bruzdami twarz socjalisty nie wyrażała nic prócz służbistego napięcia i oczekiwania. Za to prostacza uroda *Untercapa* ciemniała chmurniej, niż zwykle.

Tymczasem przy pierwszym bloku wywiązać się musiały jakieś poważniejsze historie, bo nagle gromada SS-ów wdarła się w głąb szeregów i zaraz dobiegły stamtąd gardłowe wrzaski i odgłosy bicia. Wielu z więźniów trzeciego bloku wymieniło między sobą ukradkiem spojrzenia. Ale chociaż w tłumie, związanym jednym oczekiwaniem i grozą jednego losu, każdy z pośród tych siedmiuset mężczyzn czuł się śmiertelnie i beznadziejnie samotny. Pogarda i okrucieństwo nadchodzące wolno, lecz nieodwołalnie, już samą bliskością deptały i miażdżyły braterstwo swoich ofiar. I jeśli w tej chwili, ocierającej się o cień śmierci, wśród blasku i wśród ciszy rozdrapywanej chrapliwymi krzykami, łączyło cokolwiek tych ludzi, to tylko ciała nędzne i pół nagie, wydane strachowi.

Staś Karbowski stał w pierwszym szeregu. Przez cały dzień czuł się źle. Szum w głowie, ściszony porannym myciem, począł przy pracy ćmić na nowo, a gdzieś koło południa z wnętrza tego monotonnego bełkotu wykluł się nieznacznie z głębi ucha cienki, jak ukłucie igłą ból. Pod wieczór szum zgęstniał, a ból jak gdyby spęczniał. Staś wcale się tym nie przejął. Chwilami tylko, gdy ból szarpał natarczywiej, zdejmował go strach na myśl, że granice tego cierpienia mogą okazać się bardzo rozciągłe. Bał się wtedy nie bólu, lecz nieświadomości jego ostatecznego natężenia. Ale i ten niepokój chwytał go na bardzo krótko, nagle zapadał się, zacichał.

Od wczorajszej śmierci Wacka Zawadzkiego, od chwili, gdy ten przeszedł o krok przed szeregiem, wybijając na bębenku straszliwy i dziecinny rytm, a potem stojąc na wzniesieniu, błądził niewidzącym wzrokiem po tłumie towarzyszy, Staś czuł się tak, jakby przestał do siebie należeć. Coś się w nim przekręciło i przełamało. I tak instynktownie i bardzo mglisto zdawał sobie sprawę chwilami, że jakaś niewiadoma siła poczyna go odrywać od życia, bezboleśnie i wolno pociągając z sobą w martwy mrok.

Stał, jak inni, wyprostowany na baczność, bosymi nogami wparty w ostry żwir placu i monotonny szum, który wypełniał mu głowę, zdawał się odrealniać całą tę noc mroczniejącą dokoła, ten blask oślepiających świateł, chrapliwie nienawistne krzyki i tłum niemy i sztywny. Czuł w sobie gorączkę, lecz było mu z tym dobrze, nie czuł zimna, a wiatr, gdy zanosił przenikliwym, wilgotnym podmuchem, chłodził mu rozpaloną twarz.

Obok stali ci sami ludzie, którzy od pewnego czasu stale zajmowali tutaj swoje miejsca. Po lewej stronie aktor Trojanowski, niski, krępy mężczyzna po pięćdziesiątce, przywieziony do obozu parę tygodni temu wraz z kilku innymi kolegami z teatru. Stał bez ruchu, z ciężko opuszczonymi, trochę opuchniętymi powiekami, dzięki czemu robiły wrażenie bardzo dużych i ciężkich, a całej twarzy grubo ciosanej i szarawej, nadawały wyraz skupionego tragizmu. Karbowski pamiętał Trojanowskiego z przed wielu jeszcze lat w roli Ryszarda III. Utkwiła mu szczególnie w pamięci owa nocna scena, kiedy króla dręczą wyrzuty sumienia. Z głębi ciemności blask reflektoru wydobywał tę samą tragicznym cierpieniem ściętą twarz, która znajdowała się obok, a usta teraz zacięte, mówiły przejmującym szeptem:

. . . nikt tu mnie kocha,
i nie zapłacze po mnie nikt, gdy zginę,
lecz czemuż miałbym płakać, jeśli w sercu
sam nie znajduję litości dla siebie?

Za Trojanowskim stał straszliwie wymizerowany młody człowiek, niejaki Olszewski, ziemianin z pod Biłgoraju. Z drugiej strony najbliższym towarzyszem Stasia był Wachowiak, 18-letni robotnik z Łodzi, sczerniały od uderzeń, zacięty i pochmurny. Z tyłu sędzia z Torunia, Makowski, chory ciężko na serce od czasu, kiedy został skazany na półgodzinne oblewanie zimną wodą z hydrantu. Dalej znany ludowy działacz, Smoła, "sztubowy" Pawłowski i ów umierający lekarz Parczewski, który nie skonawszy w ciągu rannego apelu, po raz drugi został ściągnięty na plac.

Staś słyszał tuż za sobą, prawie na plecach, jego krótki rzężący oddech. W ciszy, jaka panowała wśród dziesiątek, to dyszenie nieludzkie, uporczywie walczące ze śmiercią, rozbrzmiewało chwilami bardzo głośno. Gdy zcichało, Staś odruchowo prężył się w sobie, mocniej wyprostowywał ramiona, pewien, że ten dogorywający strzęp człowieka za chwilę zwali mu się na plecy. Zanikał w nim wówczas własny ból. Przez kilkanaście sekund męczył się napięciem tego oczekiwania. Z nawrotem rzężenia ból wracał, lecz po tamtym zdawał się niemal odprężeniem.

—Tss — szepnął w pewnej chwili zaciśniętymi wargami "sztubowy".

Cisza, już i tak do ostatnich granic napięta, stała się jeszcze bardziej wyostrzona. Wśród stężałego skupienia ludzie przestali prawie oddychać. SS-i nadchodzili.

Pierwszy szedł Hans Kreutzmann. Miał zaledwie dwadzieścia, może dwadzieścia jeden lat, ale wyglądał na mniej. Coś z jeszcze nie całkiem dojrzałej, pierwszej młodości pozostało w jego smukłej, prawie chłopięcej sylwetce i w ruchach, które kryły jednak poza sobą zdrowe i muskularne męskie ciało. Chociaż dobrze nosił swój zgrabny, czarny mundur, nieuchwytne jakieś drobiazgi w sposobie chodzenia, w rytmie stawiania nóg, w linii pleców i ramion sprawiały, że często robił wrażenie człowieka nagiego, a przynajmniej najlepiej czującego się nago. Hans Kreutzmann był piękny. Był jasnowłosy, bardzo nordycki, o delikatnym owalu twarzy i dużych łagodnych, niebieskich oczach.

Staś Karbowski patrzył prosto przed siebie, jednak czuł, że dłonie stojącego obok robociarza odruchowo zacisnęły się w pięści. Rzężenie doktora Parczewskiego znowu przycichło i można było usłyszeć, jak "sztubowy", tracąc widocznie kontrolę nad sobą, załkał naraz głucho i dziwacznie, jak gdyby niespodziewany szloch uciął w nim próbę zaczerpnięcia głębszego oddechu.

Kreutzmann, stawiając stopy w taki sposób, jakby znalazł się na krawędzi basenu, zatrzymał się przy wyprężonym na baczność Schrederze. Lekko pochylony w ramionach, z rzemiennym pejczem niedbale zwisającym z opuszczonej dłoni, zadał *Capowi* jakieś pytanie. Nikt z bloku słów nie dosłyszał. Kreutzmann rzadko kiedy podnosił głos. Nie dotarła również do szeregów odpowiedź Schredera.

Tymczasem zbliżyli się inni SS-i. Krótki, opasły, do buldoga podobny Greiser, ospowaty z długimi poza kolana sięgającymi rękami Schmidt, młody kędzierzawy Dietrich, eks-bokser Sturmer o niskim czole i rozpłaszczonym nosie. Greiser poprawiał kurtkę, Dietrich, wetknąwszy pejcz za pas, chustką ścierał z dłoni krew. Chwilowo wszyscy zatrzymali się koło Kreutzmanna. Jeden tylko Sturmer posunął się dalej i przystanąwszy przed pierwszym szeregiem począł swoimi małymi, głęboko osadzonymi oczami tępo wodzić po nieruchomych twarzach.

Tak zaczął się ów apel, ze wszystkich, jakie dotąd w Oświęcimiu znano, najdłuższy. Stał cały obóz, wszystkie bloki. Według zarządzenia komendanta obozu odwołanie apelu nastąpić miało wówczas dopiero, gdy znajdzie się zaginiony. Poszukiwania trwały już z górą dwie godziny, SS-i i *Capowie* natychmiast po alarmie rozbiegli się po obozie i po terenach pracy. Penetrowano wszędzie. Macki reflektorów bezustannie wślizgiwały się w głąb ciemności, opasujących obóz i po różnych krańcach tych nagłych rozjaśnień, jak gdyby u skraju milczącej i ogromnej nocy rozbrzmiewały ochrypłe krzyki, ostro i przenikliwie tnące ciszę. *Capo* dozorujący przy rozbiórce domów, ów dobrodusznie wyglądający, tęgi Niemiec — brał także udział w poszukiwaniach. Lecz chociaż w terenie orientował się najlepiej, niewiele było z niego pociechy, bo zbity i skopany przez Kreutzmanna ledwie trzymał się na nogach. Cały ów teren, na którym znajdowały się domki przeznaczone na rozbiórkę, przeszukano gruntownie i kilkakrotnie. Zaginionego nigdzie nie było.

W miarę upływania czasu furia SS-ów wzrastała. A noc, osiągnąwszy swój mrok ostateczny, trwała już dalej niezmiennie ciemna i obca. Chłód stawał się tylko przenikliwszy. Powietrze wilgotniało i na koniec mżyć poczęła miałka, kroplista i lodowata mgła. Topole wzdłuż bloków coraz gęstszym wzbierały wiatrem i szumiały długim szpalerem od końca do końca, rzucając na plac i na ludzi niespokojne, postrzępione cienie. Te cienie, znaczone niecierpliwym oddechem nocy, podchodziły aż pod trzeci blok.

Staś Karbowski przypatrywał się im uporczywie, usiłując wplątać upływanie czasu i własny ból i znużenie w to bezgłośne przenikanie mroku w jasność. O parę kroków przed szeregiem, akurat przed Trojanowskim, leżał na ziemi doktór Parczewski. On pierwszy, ponieważ stał pochylony, obojętny i głuchy na wszystko, zwrócił uwagę rozjątrzonych SS-ów. Wyciągnął go z szeregu Sturmer i ramieniem przytrzymując chwiejącego się, bił go zaciśniętym, bokserskim kułakiem jak automat, z niezmiennie tępym wyrazem swojej płaskiej twarzy. Trwało to krótko, lecz tym, którzy stali w pobliżu, wydawał się ten czas nieskończenie długi.

Teraz doktór Parczewski leżał na tym samym miejscu, gdzie go porzucił Sturmer. Leżał na wznak, lecz dzięki podkurczonym pod siebie kolanom, wydawał się bardzo mały, jak gdyby bez nóg. Cienie topoli nie docierały do tego miejsca. W białym blasku reflektorów, otwartymi oczami wpatrzona w noc ponad jasnością twarz zmarłego spokojniała i cisza ścierała z niej powoli ślady cierpienia. Aż wreszcie stała się samym spokojem i samą ciszą.

Trojanowski stał ciągle z ciężko opuszczonymi powiekami. Lecz i tym ułamkiem spojrzenia ogarniał nieżyjącego. Z warg rozciętych pejczem młodego Dietricha ściekała mu krew na brodę i dalej na drelich. Nie zwracał na to uwagi. Natarczywie i jak gdyby w zwolnionym rytmie plątały mu się po głowie jego własne słowa, gdy na parę miesięcy przed uwięzieniem dowodził kilku przyjaciołom, że nawet wśród największych cierpień i poniżeń człowiek może uratować swoją godność. Mówił wówczas: Wierzę, moi drodzy, że nic nie może zabić w człowieku jego wolności, trzeba tylko chcieć jej bronić, ale bronić przed samym sobą, przed naszą słabością, przed naszym lękiem, przed brakiem nadziei. Nie ma na ziemi siły, któraby mogła zniszczyć naszą wolność, jeśli ją chcemy ocalić. Wobec kogo, spytacie. Wobec siebie samego, wobec Boga, jeśli chcecie . . .

Teraz wiedział, że samemu można znieść poniżenie i można z dumą i z pokorą przyjąć najokrutniejszy koniec, lecz poniżenia, które wydaje śmierci drugiego człowieka, bezbronnego i samotnego, jest ciężarem ponad siły ludzkich ramion. Czuł, jak kruszy się w nim i łamie ta wolność wewnętrzna, której uporczywie i w skupieniu bronił od pierwszego dnia uwięzienia, wolność nie służąca niczemu, prócz ratowania własnej godności.

Oswoił się już z cierpieniem i poniżeniem. Widział je codzień. Także śmierć. Lecz ze złem, z nieludzką pogardą i z okrucieństwem, które dokoła szalały, oswoić się nie mógł i nie umiał. Nieraz aż oskarżał samego siebie o oschłość, bo oprawcy poruszali nim głębiej, niż widok ich ofiar. Zło, do którego człowiek jest zdolny, ta otchłań, którą trzeba z bliska ujrzeć własnymi oczami, aby w nią uwierzyć, te bezmiary potworności, drzemiące w ludzkich istnieniach i bez wstydu, wśród zwycięzkiego tryumfu wydobywające się na światło dzienne — to była groza, przewyższająca wszystko, co człowiek jest w stanie przecierpieć.

Patrzył na twarz zmarłego doktora i poprzez znużenie, które go co raz bardziej obezwładniało, broniąc się przed wewnętrznym odrętwieniem, usiłował uporządkować jakoś te strzępki odczuwań. Myślał z wysiłkiem, jak gdyby przedzierając się przez ciężki opar: cierpienie mieści się w porządku świata. Mogę być sobą, cierpiąc. Mogę być sobą, umierając. To coś znaczy, to jest nadzieja. To może być zwycięstwem. Lecz zło?

Nie znajdował w sobie odpowiedzi. Pytanie, jak kamień spadało w przepaść i z głębi żaden głos nie odzywał się echem. Czuł tylko bardzo mgliście i jak gdyby myślał nie sobą, lecz kimś o wiele przerastającym jego samego, że chociaż nienawidzi tych ludzi, opętanych złem, jest w istocie bardziej z nimi związany, niż z cierpiącymi współtowarzyszami niedoli. Nie była to solidarność. Wszystko w nim buntowało się przeciwko niej. Nie była to również litość dla zbrodniarzy, gorzkie braterstwo, które każe dzielić z winnymi ciężar wspólnego zła na ziemi. Nie czuł tej litości. Więc cóż mnie z nimi łączy? — myślał. — Jakże mogę dzielić odpowiedzialność z tymi, którzy mnie biją i poniżają i z których ręki mogę w każdej chwili zginąć? Potępiam ich . . . I po chwili: Może za tę cenę wolno potępiać? . . .

* Por. nr. 23 "Polski Walczącej" z b.r.

Z niemieckich obozów udręki i śmierci

W pobliżu miejscowości Gardelegen 9-a Armia Amerykańska gen. Simpsona natrafiła na stodołę pełną tlących się jeszcze trupów. Dochodzenia wykazały, że Niemcy polali złożoną w stodole słomę jakimś płynem łatwopalnym, spędzili do tego zamknięcia 1,100 robotników przymusowych: Polaków, Francuzów, Rosjan, i — podpalili. Tego ostatniego aktu dokonał 16-letni kapral SS. Gdy oszaleli ze strachu ludzie usiłowali się wydostać na zewnątrz, hitlerowscy sadyści strzelali do nich z karabinów maszynowych.

Zdjecie — pochodzące ze źródeł amerykańskich — przedstawia chłopca-Polaka nad zwęglonym trupem przyjaciela.



Z generałem Andersem w Niemczech (III):

Obóz kobiet z Warszawy



—Pogoda dziś jest bardzo nieprzyjemna. Stanowczo nie radzę lecieć tymi, jak wy nazywacie, "Kubusiami" — ostrzega brytyjski komendant byłego niemieckiego lotniska pod Wilhelmshaven.

Naprawdę pogoda jest nieprzyjemna. Duże, gęste chmury przewalają się nad głowami, a szybki, porywisty wiatr szerokimi deseniami rościela trawę po ziemi. Trudno jest utrzymać równowagę tu, na dole. Cóż dopiero musi dziać się tam, wyżej?

Ze zupełnie zdecydowaną niechęcią patrzę na trzy "Kubusie", przygotowane na nasz lot. Miałem już parę razy wątpliwą przyjemność latania "Kubusiami" i wiem w jak słabym stopniu porównanie: "trzęsie niczym zdezelowany motocykl, tyle tylko że na dziurach powietrznych", oddaje niemiłą rzeczywistość. Sądząc z ponurego uśmiechu kapitana L. on też nie pali się do lotniczych wawrzynów.

Ale generał Anders nie chce nawet słuchać złowróżbnych horoskopów. Czy można wystartować? Tak. Czy będzie można lądować? Tak. Więc . . . nie ma o czym gadać. Lecimy.

Pierwszy, jak nakazuje etykieta i prosty regulamin startuje "Kubuś" Generała. Start ma lekki i szybki, tak że już po paru, dosłownie, sekundach widać jak gwałtownie przechyla się w powietrzu, zapada w dziury i w ogóle robi wszystko, aby zniechęcić innych do pójścia w jego ślady. Pomiędzy samolotem kapitana L. i tym, którym ja lecę zachodzi małe, towarzyskie nieporozumienie. Toczą się obydwa jakiś czas obok siebie, jakby piloci nie mogli zdecydować się kto jest ważniejszy: adiutant, czy korespondent. Roześmiany kapitan kanadyjski, który pilotuje "mój" samolot daje prasie pierwszeństwo: podrywa szybkim ruchem drążki steru i oto już jesteśmy nad hangarami.

—*We are first, before the A.D.C.*! — przekrzykuje huk motoru, niewiadomo z radością, czy z zakłopotaniem.

A tamten, trzeci "Kubuś", szaleje z nadmiaru inicjatywy. Jest nad nami i pod nami, wypływa z lewej strony, to znowu figlarnie wyłania się z prawej. Raz nawet zbliża się tak bardzo, że wyraźnie widzę zbielałą i spoważniałą od podmuchów wiatru twarz L. Korzystając z tego zamieszania, "Kubuś" Generała pruje naprzód. Zmniejsza się co raz bardziej, aż wreszcie zamienia w niewielki punkt i roztapia na tle dużej, ciemnoszarej chmury, która pędzi wprost na nas.

Uciekamy przed nią w dół. Schodzimy na wysokość tak nikłą, że widzę różnokolorową bieliznę, która suszy się na podwórzu jakiegoś domu pod nami. Drzewa wyglądają jakbyśmy mieli szczery zamiar za chwilę usiąść na nich. A potem wyskakujemy nad równe, regularne koryto rzeki Ems i chwiejemy się nad nim już nieco spokojniej. Szybkość, jak na powietrzny środek lokomocji, jest raczej niewielka, nie dochodzi nawet do stu kilometrów na godzinę. Tym łatwiej więc można obserwować cały rejon Wilhelmshaven, który przecinamy z północy na południe.

Ems jest wzorowym przykładem ludzkiej pomysłowości w ujarzmianiu rzeki. Nie tylko niskie, szerokie wały ujęły ją w ramy dyscypliny i posłuszeństwa. Liczne kanały prócz tego zapobiegają powodziom, wylewom i osuszają teren, który kiedyś musiał być bardzo bagnisty. Nie ma większych ośrodków przemysłowych na naszej trasie, to też nic tu nie przypomina wojny. Małe miasto Leer nie potrafi pochlubić się ani jedną ruiną, ani jednym zburzonym domem. Trochę dalej Papenburg, znany z walk Pierwszej Dywizji Pancernej, też nie wygląda na ofiarę działań bojowych. Akcja rozgrywała się na przedpolach miasta, gdzie żółcą się i bielą dziury po pociskach. Obok, w dużych wielokątach lasów Niemcy poukrywali obiekty przemysłu wojennego. Stąd, z góry widzi się wyniki precyzyjnej pracy bombowców. Fabryki i lotniska schowane w lasach zostały zupełnie spalone i zryte bombami. Obok, tuż za ostatnimi drzewami i krzakami tkwią nadal domy i zabudowania niemuśnięte nawet odłamkiem.

Wiatr staje się znowu ostrzejszy, coraz mniej umiarkowany. Każe nam posuwać się trasą bardzo falistą i uniemożliwia obserwację ziemi. Zaczynam myśleć nie o Niemczech, lecz o obozie, do którego lecimy. Obozie kobiet polskich w Oberlangen. Tych samych, które wzięte do niewoli jako żołnierze Armii Krajowej w Warszawie, zostały w kwietniu wyzwolone przez zwycięski marsz Dywizji Pancernej. Jak wyglądają te kobiety? Co myślą? Czego się spodziewają, i . . . jaki jest ich stosunek do nas, żołnierzy emigracji?

PRZEGLĄD

Kompanie stanęły wzdłuż baraków. Na pozór odbywa się wszystko tak, jak na przeciętnym, normalnym przeglądzie. Szeregi są wyrównane, ustawione według wzrostu, ściągnięte i wyprostowane na "baczność". Głowy zwracają się gwałtownym, mechanicznym ruchem w komendzie "na prawo patrz!". Armia Krajowa była przecież nie tylko bohaterskim, ale i regularnym, ale i zdyscyplinowanym wojskiem . . .

W powietrzu jest bezgłośnie, bo nawet wiatr ustał, słychać tylko chrzęst żwiru pod nogami idących, a trochę później donośny głos komendantki, składającej p.o. Naczelnemu Wodzowi meldunek. I znowu na długo jest już tylko ostry zgrzyt kroków na tle ciszy tak zupełnej, że aż ciężkiej do wytrzymania, że aż niemożliwej do zniesienia. Bo, w tej chwili chodzi nie tylko o ciszę. Szeregi z bliskiej, bezpośredniej odległości przestają być przeciętnym i normalnym wojskiem, stają się tym, czym są naprawdę: strzępem dramatu i wycinkiem niezwykłości.

Stanęło tu parę pokoleń. Od twarzy bardzo starych, od włosów srebrzących się jednolitą, zupełną siwizną, aż do podlotków, aż do dzieci, które by się chciało wprost stąd natychmiast przenieść do szkoły. Mój Boże, nie tylko do szkoły, bo ta mała, która stoi na lewym skrzydle nie ma chyba więcej niż sześć lat. Dostała się do niewoli wraz z matką.

Są twarze, na których pozostały jeszcze ślady dawnej ważności, wpływów, znaczenia. Są inne, patrzące na świat naiwnie i niedoświadczenie. A równocześnie we wszystkich twarzach, tak samo wynędzniałych, wyniszczonych i biednych, zamknął się jeden, wspólny wyraz, trudny do nazwania, niemożliwy do określenia. Jakby jakaś ostra, bolesna refleksja przeszłości. Jakby jakaś tajemnica, której — tak zdaje się twierdzą te twarze — nikt inny zrozumieć nie potrafi. Nie, nie ma w oczach łez, ani rozczulenia. Są one może nawet zimne, a napewno badawcze. Nie trudno odgadnąć, że to, co te oczy widziały uniemożliwia dziś reakcję sentymentalną i liryczną.

W zbyt długich, zaniedbanych, nie pielęgnowanych, włosach, w rzędach przypadkowo dobranych *battledressów*, w ciężkich, w za dużych butach, w różnorodnej mieszaninie beretów, czapek i furażerek, nie można odnaleźć zarysów zalotnych, kobiecych sylwetek. Gubi się gdzieś pojęcie urody i brzydoty. W tych tak bardzo żołnierzach, a tak mało kobietach, nie można odnaleźć dawnego czaru, uroku i piękna Warszawianek. I rozumiemy, że oto przechodzimy wobec nowej, nieznanej nam teraźniejszości Kraju. Uświadamiamy sobie, chyba bardziej niż kiedykolwiek, że nie ma już powrotu do tamtych, sprzed wojny wspomnień, do tamtej, zamkniętej i skończonej przeszłości.

KARABIN NIE JEST DLA KOBIETY!

Generał Anders nie chce traktować tego obozu w sposób za bardzo regulaminowy.

—Zbliżcie się tu wszystkie, dziewczęta, bo chcę wam parę słów powiedzieć — zwraca się do szeregów po skończonym przeglądzie.

Szeregi łamią się, rozpadają, aby zacieśnić się i zamknąć dużym kołem. Ale nie ma gwaru i twarze pozostają wciąż te same. Wyczekujące.

Generał mówi spokojnie, ale stanowczo. Tak, jakby wykładał pogląd, może nie dla wszystkich przyjemny, czy też nie dla wszystkich do przyjęcia, ale dla niego najzupełniej oczywisty i niepodlegający dyskusji. Walka z karabinem w ręku nie jest zadaniem kobiety. Tak, musiałyście walczyć, ale to już się skończyło. Do karabinu nadaje się żołnierz, mężczyzna i on to zrobi lepiej, niż wy. Są natomiast dziedziny w wojsku, w których kobieta jest niezastąpiona. Jakże wiele istnień ludzkich uratowały w tej wojnie kobiece ręce! Idąc poprzez Rosję, Wschód, i Włochy — kobieta pomagała żołnierzowi Drugiego Korpusu jak mogła, jak tylko potrafiła. Czy to jako sanitariuszka, czy świetliczarka, czy kantyniarka. Dzisiaj dorobek ochotniczek jest ogromny. Wy też dołączycie do nich. Część z was, w miarę możliwości, pójdzie do szkoły . . .

Kobiety — żołnierze słuchają i nie można odgadnąć, czy zgadzają się z poglądem, że walka bezpośrednia nie powinna być udziałem kobiety, czy nie. Lecz gdy słyszą o planach na przyszłość, ożywiają się wyraźnie.

—Czekałyśmy przede wszystkim na zapowiedź naszego przyszłego losu — zwierza się potem jedna z nich.

Wiele ochotniczek chce rozmawiać z Generałem. Wszystkie w sprawach osobistych: czy Generał nie spotkał w Rosji "przypadkiem" mego męża? Czy zna może mego brata, który walczył we Włoszech? Czy nie wie, gdzie znajduje się mój syn, był podporucznikiem kawalerii w trzydziestym dziewiątym roku?

"CHCEMY PRACOWAĆ!"

—Może ma pan ochotę zwiedzić obóz? — zaprasza mnie gościnnie młoda ochotniczka o włosach ciemno-czerwonych, koloru przepalonej miedzi.

Korzystam skwapliwie z okazji. Idziemy do baraków, przechodzimy przez place, zwiedzamy kantynę. Baraki są duże, szerokie, widne. Łóżka nie mają wprawdzie materacy, ale za to są wyposażone w wystarczającą ilość koców i w małe, polowe poduszki. Wszędzie jest bardzo czysto, w pewnym nawet sensie komfortowo, to znaczy komfortowo w stylu jak najbardziej wojskowym i jak najoczywiściej obozowym.

—Zupełnie niezły macie obóz — mówię zdziwiony.

—Tak, teraz jest całkiem dobrze — odpowiada mi moja "Beatrycze" — ale, proszę pana, Niemcy nas trzymali nie w tym obozie. Tamten, z czasów niewoli, znajduje się o parę kilometrów stąd. Gdy polscy żołnierze nas uwolnili postarali się, abyśmy zostały przeniesione jak najszybciej tutaj.

—A co tu było?

—Również obóz i zdaje się poprawczy, ale dla Niemców, bodaj nawet dla hitlerowców.

Kobiety w barakach nie narzekają na materialną stronę swojej obecnej egzystencji. Owszem, jedzenie jest dobre i w ilości całkowicie wystarczającej. Mała Krysia Szczycińska — dawna znajoma z Warszawy, którą dziwnym przypadkiem spotykam w jednym z baraków — chwali się najpierw nowymi, żółtymi butami, a dopiero później opowiada mi długą i smutną historię o mojej rodzinie. Buty, zresztą są dzisiejszą sensacją. Nawet starsze panie cieszą się nimi, jak dzieci.

Jedenastoletni Mirek Wojtusiński, który z racji wieku uchodzi tu też trochę za kobietę, jest tak zajęty oglądaniem swoich butów, że nie zwraca uwagi na rozmowy.

—Tatuś zginął we wrześniu — odpowiada wreszcie cienkim głosem. — A z mamusią nie wiem co się stało.

—A czy Ty też walczyłeś w powstaniu?

Mirek patrzy na mnie nieco lekceważąco i zbywa pytanie milczeniem. Wydaje się urażony, że ktoś może mieć jakiekolwiek wątpliwości w sprawie jego udziału w walkach.

—Mirek był łącznikiem — wyjaśnia jedna z pań /niebardzo wiem, jakiej mam tu używać terminologii: "panie", "kobiety", "żołnierze", "ochotniczki" . . ./ — roznosił rozkazy, przeciskał się pod domami, które nieraz płonęły, chodził w kanałach . . .

—Kanały, proszę pana, są specjalnym rozdziałem walk Warszawy — mówi ktoś obok. — Wyjątkowo dramatyczna była ewakuacja ze Starego Miasta do Śródmieścia. Odbyła się ona prawie całkowicie właśnie tunelami. Ciemności utrudniały każdy krok. Ciecz i błoto ze ścieków, sięgały prawie do kolan. Oprzeć się nie było o co, ręce bowiem ślizgały się na półkolistych ścianach kanałów. No i — Niemcy! Opanowali już oni część ulic i wiedzieli, że mamy zamiar uciekać tą drogą. Świecili więc poprzez otwory w jezdni latarniami i gdy zauważyli jakikolwiek ruch, rzucali granaty. Musieliśmy więc iść pojedyńczo. Czy pan rozumie, co to znaczy? Iść pojedyńczo, w kompletnych ciemnościach, w strachu przed zabłądzeniem! W obawie przed wejściem na którymś skrzyżowaniu w niewłaściwy korytarz lub przed upadkiem, który może zakończyć się utonięciem w ohydnej cieczy! Zdarzało się, że ludzie wtedy dostawali ataków histerii. Że tracili zmysły. Kilka osób zwariowało. A trzeba było iść . . .

—Ee, to już jest przeszłość. Nie warto do tego wracać. Czy napije się pan herbaty w naszej kantynie? — przerywa towarzyszka opowiadającej.

—Lekko pani o tym mówi — stwierdzam z urazą. — O takiej przeszłości nie można zapomnieć.

—My też o niej nie zapominamy. Walki w Warszawie pozostaną najdroższym, największym wspomnieniem naszego życia. Ale to już minęło. Przestańmy się rozczulać. My nie lubimy ani bohaterskich opowiadań, ani bujania w obłokach, dlatego też bardzo nam podobają się nasi żołnierze z Dywizji Pancernej. Przyjeżdżają tu do nas i mówią prawdę. Stwierdzają, że jest ciężko, że jest wiele przeszkód na naszej drodze do Polski . . .

—Bo myśmy wyobrażały sobie w Warszawie, że tu jest lepiej, że wszyscy chcą pomóc Polakom, że nie ma żadnych przeszkód politycznych — dorzuca starsza, siwa pani, która przed chwilą dołączyła się do naszej rozmowy.

—Początkowo nie chciałyśmy wierzyć, że nasi sprzymierzeńcy na zachodzie mogą choć przez chwilę zastanawiać się nad celami polityki bolszewickiej w Polsce. Przecież to są takie jasne sprawy! — mówi "Beatrycze".

Dyskusja schodzi na tematy bieżące i kończy się ich jedną, wspólną prośbą:

—Niech pan napisze i niech pan wszystkim to mówi, że najgorsza dla nas obecnie jest bezczynność. Dławimy się i dusimy w tym trybie życia, który nie niesie nam nic nowego. Zabijamy czas, jak tylko możemy. Mamy wykłady, zorganizowane przez nasze koleżanki, mamy ćwiczenia fizyczne, mamy nawet musztrę. Ale my chcemy wrócić do normalnego życia. Chcemy być czynne. Chcemy pracować!

A MY?

Jest już prawie zmierzch, gdy generał Anders i my dwaj wsiadamy do naszych "Kubusiów", czekających na małym lądowisku przy drodze. Pogoda popsuła się jeszcze bardziej. Ogromne, ciemnoszare, prawie czarne chmury zakryły cały horyzont. Wiatr dmie w plecy przy starcie, więc podrywamy się szybko i gwałtownie. Okrążamy na szosie grupkę kobiet, które machają ku nam pożegnalnie rękoma. Wracamy tą samą trasą, mijamy te same domy, wsie i miasteczka. Ludzi nigdzie nie widać, bo właśnie deszcz zaczął padać dużymi i grubymi kroplami. Ludzie więc ukryli się w domach.

—W swoich domach — myślę. — Chociaż popełnili tyle zbrodni, chociaż narobili tyle nikczemności, chociaż przegrali wojnę, to jednak zachowali domy. Niemieckie domy na niemieckiej ziemi.

A my?

MAREK ŚWIĘCICKI



Wysiedleńcy w Niemczech

Korespondencje własne "Polski Walczącej"

Rzeczpospolita Brunszwicka

—"Dobrze, że mamy pod ręką oficerów Polaków" — powiedział pułkownik Lee MacCarthy, dowódca oddziału rozpoznawczego jednej z brygad pancernych Dziewiątej Armii Amerykańskiej, do grupy pięciu spadochroniarzy, kilka godzin temu wyzwolonych z niewoli z *Oflagu* pod Brunszwikiem.

—"Pod Arnhem mieli Panowie kupę roboty, tutaj będziecie jej mieli tyle samo, jeżeli nie więcej" — ciągnął pułkownik MacCarthy — "tylko innego rodzaju. Od tygodnia na szlaku naszego marszu natrafiamy na masy ludności polskiej: deportowanych, jeńców wojennych, robotników . . . Nie mamy czasu, ani możności zajmować się nimi . . . Czy zechcecie nam pomóc?"

W ten sposób w połowie kwietnia pięciu muszkieterów spadochronowych z pod Arnhem zamiast jechać na dobrze, po siedmiu miesiącach niewoli, zasłużony urlop do Szkocji, przekształciło się w połowie kwietnia w oficerów łącznikowych pomiędzy dowództwem Dziewiątej Armii a przeszło czterdziestotysięczną masą Polaków z rejonu Brunszwika.

Pierwsze cztery doby działalności kapitana Jana W. i jego czterech towarzyszy w tym sensie przypominały bitwę pod Arnhem, że były to nadludzkie zmagania z przemożnymi przeciwnościami, trwające dzień i noc. Czterdzieści tysięcy ludzi, którzy odzyskali wolność . . . Czterdzieści tysięcy ludzi, którzy w niewoli stracili wszystko, oprócz wiary . . . Byli jeńcy wojenni, ofiary łapanek, obrońcy Warszawy, wyzwoleni z obozów koncentracyjnych i obozów pracy. . . . Mężczyzni, kobiety, dzieci . . . Niemal wszyscy wynędzniali, niedożywieni, w łachmanach . . .

Administracja niemiecka przestała funkcjonować, władze alianckie nie zdołały jeszcze przejąć i uporządkować kraju, przez który przewaliła się burza totalnej wojny. Wojny, co toczy się dalej na zachód o kilkadziesiąt kilometrów.

Kapitan W. i jego towarzysze pracowali z zaciśniętymi zębami przez cztery doby. Czterdzieści tysięcy ludzi. Dwieście sześćdziesiąt obozów. Matki nie mają mleka do karmienia niemowląt, trzeba go szukać. W innym epidemia tyfusu. Wypadki czerwonki mnożą się w zastraszającym tempie a lekarzy jest tylko pięciu. Brak samochodów do przewożenia żywności. Niemieckie bandy dezerterów rozbiły w nocy skład z chlebem . . .

Spadochroniarze z pod Arnhem dwoili się i troili przez kilka dni i już zaczęło im się wydawać, że nie podołają . . . Lecz po tygodniu coś się zaczęło przełamywać. Bezładna, zdawało by się, masa polskiego zbiorowiska poczęła przybierać wyraźniejsze kształty: wyłaniały się jeden po drugim komitety obozowe, grupujące się zwykle koło wybranych przez zgromadzenia obozowe mężów zaufania.

Lekarze polscy zabrali się energicznie do organizowania służby sanitarnej: powstała przychodnia, klinika, oraz dwa szpitale obsadzone przez 40-tu zmobilizowanych w tym celu lekarzy niemieckich, pracujących pod nadzorem Polaków z d-rem Karpińskim z Warszawy, na czele. Powstały komisje zaopatrzenia, zajmujące się tak rekwizycją niezbędnego dla ludności polskiej pożywienia, jak i jego rozdziałem. Dwa tajne kursy szkolne wyszły na powierzchnię, rozrastając się w kilka szkół.

Z pośród byłych jeńców i ochotników kapitan W. zorganizował 4 kompanie straży porządkowej, liczące 600 ludzi, dla ochrony swoich przed grasującymi jeszcze bandami dezerterów i straceńców. Trzech księży Salezjanów z Zakładów Księdza Siemca w Warszawie, byłych więźniów obozu karnego, zabrało się do pracy duszpasterskiej.

W samym Brunszwiku otwarte zostały dwa "Domy Polskie" z kantynami, czytelniami i salami zebrań. Rozpoczęto wydawanie "Dziennika Polskiego", dającego w skrócie obraz sytuacji wojennej oraz utwory literackie i opowiadania z niewoli, walki jak również i chwil wyzwolenia.

Czy można Amerykanom zaimponować organizacją a Brytyjczykom samorzutną, dobrowolną dyscypliną? A jednak tego właśnie dokonali polscy uchodźcy i deportowani, przypadkowo zgrupowani w rejonie Brunszwiku pod kierownictwem pięciu spadochroniarzy spod Arnhem. Zgrupowanie polskie odbija od innych narodowości, które przyjeżdżają przyglądać się i podziwiać, jak działają polskie obozy i szpitale. I uczą się . . . Zgrupowanie, wśród Brytyjczyków i Amerykanów, zyskało sobie nazwę: *"the Polish Republic of Brunswick"* — "Rzeczpospolita Brunszwicka". Polacy otrzymują pomoc życzliwą i skuteczną, jak ludzie, którzy nie tylko na nią zasługują i potrzebują jej najpilniej, lecz, którzy także sami sobie radzić potrafią.

Wolność wróciła Polakom chęć do uśmiechu i pieśni. Działają już dwa chóry mieszane, które wzięły udział w zorganizowanych po obozach akademiach trzeciomajowych. Wzięli w nich udział również żołnierze amerykańscy i brytyjscy oraz uchodźcy innych narodowości.

Dumnie powiewała flaga polska na wysokim maszcie *Hermann Goering Worke* pod Brunszwikiem, gdzie odbyła się główna akademia, zorganizowana przez doktora Świrskiego. Szeroko przez otwarte okna hali fabrycznej rozlegał się śpiew chóru, który akademię zakończył odśpiewaniem hasła Polaków w Niemczech:

"I nie ustaniem we walce, siłę
słuszności mamy
I siłą tej słuszności wytrwamy
i wygramy".

Obecni na akademii oficerowie amerykańscy powiedzieli kapitanowi W.: — "Jeżeli Polacy po wojnie okażą w Kraju te same zalety i zdolności do organizacji co w Rzeczypospolitej Brunszwickiej, to nie ma powodu martwić się o waszą przyszłość . . ."

M. K. DZIEWANOWSKI

W polskim Greven

Gdyby jeszcze pół roku temu kto powiedział, że na terenie rdzennych Niemiec powstanie polskie miasto, nikt by mu chyba nie uwierzył. A jednak Greven, nie można by dziś nazwać inaczej jak miastem polskim — przynajmniej jedną z jego dzielnic. Mimo obcej dla ucha polskiego nazwy miejscowości jeździ się tu i chodzi po ulicy Sikorskiego, po Alei Wolności, Alei Warszawy, na domach powiewają polskie flagi i wszędzie słyszy się polski język.

Do niedawna Greven zamieszkiwali wyłącznie Niemcy. Po wkroczeniu jednak wojsk brytyjskich, gdy pod ich opiekę zaczęły zgłaszać się tysiące obcokrajowców zmuszonych do pracy w Niemczech, obecnie bezdomnych i bez środków do życia, władze brytyjskiej administracji wojskowej wyewakuowały z domów Greven prawie całą ludność niemiecką, przesiedlając ją gdzieindziej, a na jej miejsce wprowadziły Polaków, Rosjan, Francuzów i Holendrów.

Polski ośrodek liczy przeszło dwa i pół tysiąca ludzi. Są to przeważnie osoby cywilne zesłane z Polski w różnych okresach na pracę przymusową do Niemiec. Są to mężczyźni i kobiety, młodzież i dzieci, ludzie najróżniejszych zawodów i wykształcenia. Po wielu latach tułaczki, poniewierki i pracy ponad siły pod grozą obozów koncentracyjnych i bata, żyją obecnie wreszcie na wolności i życiem prawie normalnym mimo że daleko od Kraju.

—"Osoby cywilne pozostaną w Greven przez okres czasu trudny do określenia — mówi kapitan Sz . . . , jeden z polskich oficerów łącznikowych brytyjskiej misji dla spraw cywilnych na okupowanych terenach — więc trzeba im zorganizować życie może na długie nawet miesiące.

Objąłem obóz 7-go kwietnia. Dotychczas założyliśmy przedszkole dla około dwudziestu dzieci i pięcio-oddziałową szkołę dla osiemdziesięciorga starszych dzieci. Prowadzi je zawodowy nauczyciel z Polski, który ma do pomocy dwie fachowe nauczycielki. Mamy szpital, międzynarodowy, bo dla wszystkich w Greven, ale do którego zmobilizowano wszystkich polskich lekarzy i pielęgniarki. Założyliśmy szwalnię, świetlicę i teatr. Trzeciego maja odbyło się pierwsze przedstawienie i odbyły się pierwsze zawody sportowe. Już są sformowane dwie pierwsze drużyny harcerskie — mają nawet swoje mundury. Kuchnię mamy wspólną dla wszystkich. Za pośrednictwem władz okupacyjnych Niemcy mają nam dostarczyć odpowiednią ilość kalorji w żywności na każdą osobę. Z początku starali się przemycić wielkie ilości małowartościowych produktów jak n.p. kartofle. W rachunku kaloriowym nie robiło to różnicy, ale przy nadmiarze mniej wartościowych produktów odżywczych brakowało nam mięsa, tłuszczów, fasoli i innych jarzyn, co mogłoby się odbić na zdrowiu poprzednio często niedożywianych mieszkańców naszego ośrodka. Oczywiście interweniowaliśmy i w rezultacie nasza kuchnia zaspakaja potrzeby wyżywienia w zupełności. Delegaci ośrodka czuwają nad tym, by podział otrzymywanych produktów odbywał się sprawiedliwie".

Na zewnątrz budynku, w którym mieści się Komenda Ośrodka, na tablicy wywieszonej przy wejściu, przypięto gazetkę maszynopisową, która przynosi wiadomości ze świata zanotowane z nadsłuchów polskich komunikatów radiowych z Londynu. Obok, wielki afisz pisany i rysowany odręcznie, propaguje sport jako doskonałą receptę na odzyskanie po dniach niedożywiania dobrej kondycji fizycznej i ogłasza konkurs na nazwę dopiero co sformowanego klubu sportowego. Inne ogłoszenie zawiadamia o mającym się odbyć przedstawieniu teatralnym a jeszcze inne o szczegółach rejestracji napływających osób i w jaki sposób załatwić formalności ślubne tych, którzy nie mieli podczas pobytu w Niemczech możności zawarcia legalnego małżeństwa. Ślubów kościelnych udzielono już na terenie ośrodka przeszło sześćdziesiąt.

Pojechałem do świetlicy. Jedzie się do niej od Komendy Ośrodka Aleją Wolności, która dochodzi do dzielnicy niemieckiej Greven i wprost przez nią prowadzi. Zastaliśmy tam kilkunastu chłopców, z których najstarszy mógł mieć chyba z trzynaście lat, podczas zbiórki harcerskiej. Zbiórkę zorganizował niewiele co starszy od nich druh Ryszard Langner, syn generała Wojsk Polskich a już i sam żołnierz, który służył w szeregach Armii Krajowej podczas powstania warszawskiego. Okazało się, że jesteśmy świadkami tworzenia nowej drużyny harcerskiej, gdyż zbiórka była zapoczątkowaniem wcielenia chłopców w szeregi harcerskie. — "Są harcerzami dopiero od dziesięciu minut" — powiedział z uśmiechem druh Ryszard, zadowolony widać ze swojej drużyny.

Na boisku sportowym, w pełnym słońcu pięknego, majowego dnia dwie drużyny rozgrywały match piłki nożnej. Inni opodal trenowali biegi, grali w siatkówkę lub przyglądali się zawodom. Wysoki, opalony wiosennym słońcem mężczyzna zbliżył się do nas. Wyciągnął rękę na powitanie.

—"Inaczej tu niż w Oświęcimiu?"

—"W Oświęcimiu?"

Tak. Kapitan-pilot Henryk Janota-Bartoszewicz był więźniem Oświęcimia, a później nawet Buchenwaldu. I tak jak teraz prowadzi życie sportowe ośrodka polskiego w Greven, tak podczas lat niewoli współpracował czynnie z Armią Krajową, będąc szefem sztabu generała Okulickiego a później po aresztowaniu i zesłaniu do Oświęcimia i Buchenwaldu był kierownikiem sekcji wojskowej w obu obozach.

—"16 października 1943 rozstrzelano partię naszych: pułkownik pilot Gilewicz, Dziama, Stamierowski, Maurycy Potocki . . . 49 innych . . . Zofia Kossak-Szczucka była w obozie w Oświęcimiu do 16 maja 1943 roku. Cudem się wydostała na wolność. Była pod zmienionym nazwiskiem . . . Niemiec-sierżant Palicz, który własnoręcznie wykonał kilkanaście tysięcy wyroków śmierci na więźniach obozu strzelając do nich z małokalibrowego rewolweru . . . Przewoziłem do kobiecego obozu skradzione w lazarecie lekarstwa w beczce asenizacyjnej . . . Proszę spojrzeć — mam tu na przedramieniu wytatuowany numer więzienny: 9406. Z tych dziesięciu tysięcy, w partii których byłem zarejestrowany, zaledwie czterdziestu jest przy życiu . . ."

—"A teraz?"

—"Teraz? . . . Teraz jestem tutaj. Prowadzę sekcję sportową, teatr, świetlicę. Jem za trzech i cieszę się wreszcie z wolności. I śmieję się do wszystkich i do wszystkiego po latach bez jednego uśmiechu. Życie jednak naprawdę jest piękne".

Po trzech i pół latach Oświęcimia. Po przeszło roku Buchenwaldu.

Bez względu na to co kto przeszedł podczas lat niewoli życie stało się piękne dla tych, którzy w niemieckim Greven spacerują po Alei Wolności, co wolność na nowo odzyskali, dla tych którzy po latach upodlenia poczuli się znów ludźmi. W polskim Greven panuje dziś uśmiech ozłacany słońcem pięknych, majowych dni.

BOLESŁAW K. PIEKARSKI

"Durna Józia"

Cleve, Nadrenia, 21 *maja* 1945

Polska Brygada Spadochronowa przybyła do Niemiec, aby wziąć udział w okupacji tego kraju, i zatrzymała się na pewien czas w okolicy całkowicie zniszczonego miasta Cleve w Nadrenii. Wojsko zakwaterowało się w blokach mieszkaniowych, które wyjątkowo ocalały. Wysoko, na dachu dowództwa, powiewa wielka polska chorągiew.

Na ulicy ożywiony ruch, pełno polskich samochodów i motocykli. Między nimi uwijają się spadochroniarze, opaleni na bronz, każdy z pistoletem u boku lub ze *Stenem* na ramieniu. Wszyscy są bez bluz "battle-dress'u", w koszulach z zawiniętymi rękawami. Jest piękny słoneczny dzień.

Niemcy w odświętnych strojach spacerują wzdłuż kwater Polaków i przyglądają się im, jakby to było jakieś widowisko. Trudno gdzie indziej znaleźć tylu ludzi o niewinnie-słodkim wyrazie twarzy, jak w tym kraju niesamowitych okropności i zbrodni.

Nagle w ulicę wpada mały zwinny *jeep* i zatrzymuje się koło chodnika, na którym stoimy. Z samochodu wyskakuje kapitan pozostawiając w nim, koło kierowcy, młodą, nędznie ubraną dziewczynę. Już z góry wiemy, że to jakaś Polka i że to znów jakieś jedno z polskich nieszczęść, których tyle spotykamy na naszej drodze w Niemczech.

—Przywiozłem ją tutaj — powiada oficer — bo przyszła do naszych kwater i zaczęła się skarżyć, że wciąż jeszcze musi pracować u niemieckiego chłopa, że jest jej tam źle, że dawniej opiekowała się nią przynajmniej niemiecka policja, a teraz nikt. Trzeba się tym zainteresować.

—Już ją nieraz tutaj widziałem. Wciąż kręci się koło wojska! — zawołał jeden z rozmawiających ze mną podporuczników. — Zdaje się szuka przygody. . . .

—Tak sprawy — nie można stawiać! — oburzył się kapitan. — Jeżeli wciąż tutaj przychodzi, to widocznie jest jej tam źle. Zresztą ona jest zdaje się trochę pomylona. I nie dziwię się. . . .

Podszedłem do samochodu. Dziewczyna, typowa polska wieśniaczka o drobnych rysach i szerokim uśmiechu, smagła od słońca, z chusteczką odsuniętą na tył głowy, spojrzała mi w oczy jakoś tak nieprzyjemnie, zaczepliwie. Promieniała szczęściem. Widocznie dlatego, że siedziała w samochodzie, że była wśród polskich żołnierzy. I to było w niej sympatyczne.

—Z jakich stron Polski pani pochodzi? — zapytałem, by zdobyć jakiś wspólny temat.

—Z Dynowa — odpowiedziała krótko i rezolutnie.

—Znam te strony — pochwaliłem się. — Wojowałem tam we Wrześniu i tam trafiłem do niewoli, z której oczywiście jak najszybciej wyrwałem.

Ale dziewczyny to nie obchodziło. Spoglądała na mnie i na innych z tym swoim nieprzyjemnie zaczepliwym uśmiechem.

W dalszej rozmowie wydobyłem z niej jednak, że nazywa się Józia, że ma 20 lat, że przywieźli ją tutaj Niemcy dwa lata temu i że jest jej źle u "bauera". Ale teraz nie pracuje, bo ma palec skaleczony i chodzi na opatrunki do szpitala. Rzeczywiście miała brudną, zaropiałą ranę, ale nie było na tym ani śladu jakichkolwiek lekarskich zabiegów.

Po krótkiej naradzie zdecydowaliśmy, że trzeba będzie odwieźć Józię z powrotem na farmę, zbadać sprawę i w razie czego zagrozić Niemcowi, aby się dobrze obchodził z dziewczyną. Władze brytyjskie uregulowały tymczasowo sprawę utrzymania b. robotników przymusowych w ten sposób, że gospodarze niemieccy muszą w dalszym ciągu ich żywić i dawać mieszkanie, aż do dalszych zarządzeń.

Na farmie zastaliśmy ogólną biedę. Bynajmniej nie z powodu wojny, bo widać było, że tu nigdy nie było zasobniej niż u przeciętnego chłopa w Polsce. Stara Niemka i jej przeraźliwie chudy i brudny syn zaczęli szeroko opowiadać, jak to oni dobrze obchodzą się z Józią, ale dziewczyna jest pomylona, wiecznie gdzieś włóczy się i nawet nie chce spać w domu, tylko na kamiennej podłodze w szopce dla narzędzi rolniczych. Niezbyt wierzyliśmy tym opowiadaniom, ale potwierdziła to druga robotnica na tej farmie, Ukrainka spod Kijowa.

—Józia jest pomylona—tłumaczyła nam nie bez sympatii dla swojej przygodnej koleżanki.—Teraz nic nie robi, tylko lata i lata. Ja jej mówię: umyj się, bądź jak człowiek. Lecz ona nie chce słuchać i tylko śmieje się głupio. Ona jest durna.

Józia stała przed nami i przysłuchiwała się rozmowie z tym swoim ciągłym zaczepliwym i jakby nieprzytomnym podśmiechiwaniem się.

—Czy ona zawsze taka była? Od początku?. . .

—Nie, dopiero jak Niemcy poszli. . . —Ukrainka urwała i chciała zmienić temat rozmowy.

W tym momencie nadeszła jeszcze jedna dziewczyna, z sąsiedniej zagrody. Drobna i ładna, w wielkich sabotach, chociaż nędznie ubrana, wyglądała jak wdzięczny obrazek.

—Pani jest Polką? — zapytaliśmy.

—Nie, jestem Ukrainką, ale z Brodów, z Polski — odpowiedziała czystą polszczyzną i słowo "Polska" zabrzmiało jakoś dumnie w jej ustach.

—Tak, jestem Ukrainką, ale w Polsce było mi bardzo dobrze. . . Potem przyszli Rosjanie, potem Niemcy. . .

Głos dziewczyny załamał się, nas też coś ścisnęło za gardło. Staliśmy tak jakoś bezradnie, ona w swojej niemieckiej brudnej sukienczynie i olbrzymich dziwacznych sabotach, a my w naszych brytyjskich *battle-dress'ach.* I właśnie z ust Rozalii padło to odwieczne pytanie:

—Kiedyż my wrócimy do Polski?. . .

Durna Józia stała i śmiała się. Ten bezczelny śmiech na jej półdziecinnej twarzy denerwował mnie. Równocześnie ogarniał mnie smutek i złość, że nie mogę niczym spędzić tego nienormalnego wyrazu z twarzy dziewczyny.

I wtenczas przykre przypuszczenie zaczęło krystalizować się w moim mózgu. Odsunąłem się od wszystkich i skinieniem głowy przywołałem do siebie Rozalię.

—Józia dawniej nie była taka? — powiedziałem.

Ukrainka z Kijowa wygadała się, że to od czasu, gdy Niemcy odeszli . . .

—Co oni jej zrobili? . . .

Rozalia spojrzała na mnie spokojnie i rzekła z prostotą:

—Poco pan chce wszystkiego się dowiedzieć? Co to pomoże. Kiedy Niemcy stąd odchodzili, nie było u nich już żadnej dyscypliny. Byli jak dzicy. . . Skrzywdzili ją . . .—A po chwili dodała z prawdziwą ukraińską zaciętością: — Teraz dobrze im tak! Mają za swoje!. . .

Mówiąc to szerokim ruchem ręki przekreśliła horyzont, na którym szczerbiły się fantastyczne zręby ruin Cleve, jednego z wielu, wielu miast niemieckich, których już nie ma.

EUGENIUSZ ROMISZEWSKI

Droga krzyżowa wspomnień

Na pokładzie O.R.P. "Conrad", w kwietniu 1945 r.

Okres pobytu polskiego krążownika na północy jest już skończony. O.R.P. "Conrad" zszedł z tamtych wód. Wreszcie więc można już pisać o tym, co przeżywała i czuła na wodach Dalekiej Północy załoga "Conrada" — można pisać tak, jakby to działo się właśnie teraz, chociaż minęło już kilka miesięcy . . . Uczucia są zbyt głębokie, aby mogły ulegać zmianom aż tak szybko.

Droga północnych konwojów — pustynny szlak. Przez pół roku przewala się tędy sztorm za sztormem, aby przez drugie pół roku długa i spokojna fala mogła przyglądać się bezbarwnemu niebu.

Krążownik polski "Conrad" pływał tu właśnie wówczas, kiedy przewala się tędy sztorm za sztormem. Ale mieliśmy dużo szczęścia, by wszystko, co nam morze zgotowało na powitanie, nie wykraczało poza ramy przyzwoitości. Jak na zimowe miesiące, było jeszcze względnie dobrze. W jesieni bywało gorzej, kiedy na "Krakowiaku" przechodziłem w pobliżu tych miejsc.

Droga północnych konwojów jest niedaleko. Przecinamy ją od czasu do czasu. Myślą zaś przecinamy ją znacznie częściej, niż okrętem — codziennie. Przecież to tu — na drodze północnych konwojów — O.R.P. "Garland" niebaczy na własne ofiary osłonił skutecznie konwój przewożący do Sowietów drogocenny sprzęt. To tutaj . . .

Krążownik dostojnie czerpie dziobem falę, która z sykiem przebiega przez pokład. Za chwilę przebiegnie znowu. I tak będzie ciągle.

Marynarze przy działach na dziobie są przemoczeni od pierwszej chwili objęcia wachty. I będą stali mokrzy na swoich stanowiskach przez długie godziny, podczas których nic się nie będzie działo. Tylko fala silniej, lub słabiej będzie wpadała na pokład. I silniej, lub słabiej uderzą o nich wspomnienia przebytych dróg. Ostatnio uderzają coraz silniej, łamiąc największy skarb wewnętrzny: wiarę w wartości moralne świata cywilizowanego.

Marynarz Marian B. był spadochroniarzem w wojsku niemieckim. Nikt go nie pytał ani o to, czy chce iść do wojska, ani o to, czy chce być spadochroniarzem. Ani nawet ojciec nie pytał go w domu, czy chce podpisać "*Volkslistę*". Podpisał ojciec sam. To wszystko.

Marynarz Marian B. ma dotychczas wielki żal o to do ojca.

—Podpisując "Volkslistę", aby móc zarobkować, mój ojciec skazał mnie na przymusowe wcielenie do armii niemieckiej. Skazał mnie — najstarszego — aby uratować resztę rodzeństwa. Rozumiem ojca bardzo dobrze, ale w duszy coś mi się załamało, zapadając się w bezdenną otchłań, z której pustka zakradła się w serce, napełnione dotychczas gorącym uczuciem. I pustka tkwi . . .

—Wolałbym — mówi marynarz Marian B. — aby mój ojciec uprzedził mnie . . . Wolałbym, aby mi powiedział po prostu: muszę podpisać "Volkslistę", bo w przeciwnym razie umrzemy z głodu. Jeżeli podpiszę — ty, jako najstarszy, będziesz wkrótce musiał iść do wojska. Więc uciekaj, synu, w lasy i rób swoje: walcz. Ja zaś podpiszę "Volkslistę", aby móc utrzymać resztę rodziny.

—Ale ojciec mi tego nie powiedział — kończy marynarz Marian B.

Myśli i wspomnienia innych marynarzy są niezwykle podobne do myśli Mariana B.

—Gdybyż to nam — najstarszym sprzymierzeńcom — ktoś powiedział: idźcie swoją drogą. My m u s i m y podpisać, bo musimy z a r o b k o w a ć. Ale nam tego nikt nie powiedział. Postawiono nas, jak ojciec postawił marynarza Mariana B. przed faktem dokonanym. Poświęcono nas . . . Ale czy dla reszty rodzeństwa?

Nawet i to nie! — Gorzej . . .

Na wodach Dalekiej Północy Niemcy w zimie usiłowali atakować konwoje alianckie. Ataki następowały równocześnie z powietrza i spod wody. Ale minęły bez powodzenia; ostatnie podrygi konającej bestii. Podobno jednak nie obeszło się bez kilku rannych.

Krążownik polski "Conrad" przecina często szlak północnych konwojów, chociaż sam w tych konwojach nie chodzi. I nie walczy z nieprzyjacielem, walcząc narazie tylko z żywiołem. Ale wkrótce O.R.P. "Conrad" pójdzie do akcji. Pójdzie z pustką w sercu i z niewiarą w moralność świata cywilizowanego.

To będzie bardzo ciężko. Tym cięższej, że gdziekolwiek O.R.P. "Conrad" będzie chodził, na jakikolwiek nie wejdzie szlak, zawsze będą nabiegały wspomnienia, bo na wszystkich szlakach i na wszystkich wodach pływały podczas tej wojny okręty Rzeczypospolitej.

Przecież to na wodach północy spoczywa pod Norwegią O.R.P. "Grom", zatopiony w roku 1940-ym po wspaniałej obronie. I na wodach północy poszedł na dno piękny kontrtorpedowiec polski "Orkan", trafiony dwiema torpedami w roku 1943-im.

—Byłem na O.R.P. "Orkan" — opowiada marynarz Jan K. — Byłem do ostatniej chwili. Zaraz po wachcie poszedłem na pomieszczenie. /Ja, proszę pana, śpię tak twardo, że mnie nie budzi nawet huk własnej artylerii./ Ale wówczas obudziłem się z niezrozumiałych powodów. Jeszcze był spokój. Czy jakieś przeczucie miałem, czy co? Mogłem spać po wachcie najwyżej pół godziny.

—Zaraz po przebudzeniu się odczułem straszliwy wstrząs i posłyszałem wybuch. Wyrzuciło mnie z hamaka. Pobiegłem na korytarz, łapiąc za rękę mego przyjaciela, który ociągał się z opuszczeniem naszego pomieszczenia na dziobie. W korytarzu zrozumiałem wszystko: przez drzwi wpadały tam z pokładu płomienie i już nie było mowy, aby tędy wyjść na pokład. Więc skoczyłem na trap, starając się wydostać na pomost dowódcy. W tej chwili jednak posłyszałem drugi huk eksplozji i odczułem drugi wstrząs. Okręt przechylił się i czułem, że przechył zwiększa się z każdą sekundą. To też coraz prędzej biegłem po trapie, trzymając za rękę mego przyjaciela. Trudno było iść w górę. Okręt kładł się. I nie wiem, skąd mi starczyło sił, aby ciągle jeszcze utrzymywać się na trapie. Zostawała przede mną już tylko jedna kondygnacja.

—W tej chwili jednak "Orkan" gwałtownie przechylił się na burtę. Przyjaciel mój obsunął się ze stopnia trapu i puściłem jego rękę. Z dołu doleciał mnie nie jęk, ani nie krzyk — ale zwierzęce wycie załogi, która nie mogła wydostać się na zewnątrz. Luk wgiął się od wstrząsów i w żaden sposób nie można go było otworzyć. Korytarz zaś już na dobre płonął — wyjścia więc nie było żadnego. Ktoś zaczął głośno śpiewać "Pod Twoją Obronę", starając się zagłuszyć przekleństwa i jęki, dzwoniące mi w uszach koszmarem jeszcze do tej pory.

—Kiedy dotarłem na pomost, okręt już niemal leżał na burcie. Pomost był spalony. Leżały na nim zwęglone ciała dowódcy i obsady pomostu. Torpeda trafiła w tank ropowy, powodując zapalenie się ropy, która kilkometrowym płomieniem wystrzeliła w niebo, aby opaść z powrotem na okręt, paląc wszystkich, którzy byli na pomoście i pokładzie. Oni nie utopili się — zostali spaleni żywcem przez opadającą z powrotem na okręt ognistą ropę.

—Przechył okrętu był już tak wielki, że musiałem natychmiast skakać do wody, starając się skoczyć jak najdalej, aby wir tonącego kontrtorpedowca nie wciągnął mnie pod wodę. Zresztą zaś tuż przy burtach okrętu płonęła rozlana ropa i kto skakał za blisko, ginął w jej płomieniach. Udało mi się. Długo szedłem pod wodą. Przed oczy nabiegały obrazy dawno minione. I nie wiem, dlaczego tak uporczywie powracał obraz matki.

—W ustach miałem obrzydliwy smak ropy i słonej wody. I powoli zacząłem zatracać świadomość. Niech nikt mi nie mówi, że śmierć marynarza jest straszna, jeżeli jest to śmierć w wodzie. Łagodne zapadanie się w nicość, coraz silniejsze zawroty głowy przy pełnej świadomości konania, mają w sobie coś kojącego, jak fala morza i mgła, opadająca wówczas nie na oczy, ale na myśl, na serce — na istnienie. Przykry jest tylko moment niemal ostatni. Moment, kiedy, jak ukłucie igły, rodzi się zwierzęcy instynkt życia. "Żyć, żyć, żyć!" — to wszystko, czego chciałem. Wszystkie wspomnienia zapadły się, wszystkie obrazy przeszłości znikły, pozostawiając we mnie tylko krzyk wewnętrzny: "żyć". "Ja chcę żyć!" — Nic więcej nie miałem na myśli.

—Pływam źle. Prawie wcale nie umiem pływać. Ale mimo to zacząłem wykonywać rękami jakieś ruchy, mobilizując całą siłę woli, aby nie oddychać. Wreszcie wyrzuciło mnie na powierzchnię — na brudną ropę, która już zgasła. Uderzyłem głową o jakąś belkę, z której doleciał mnie głos: "Płyń tu". Podpłynąłem, kolega wciągnął mnie na belkę i tak pływaliśmy na wysokiej, atlantyckiej martwej fali posztormowej przez 3 godziny. Podniósł nas angielski kontrtorpedowiec. Ratowali nas wszyscy. Sam widziałem oficerów angielskich, skaczących w wachę, aby ratować rozbitków z "Orkana". Ale wielu marynarzy zginęło w ostatniej chwili, kiedy kontrtorpedowiec angielski kładł się na burtę na fali. Podpływali zbyt blisko do okrętu, który przygniatał ich, miażdżąc wówczas, gdy ratunek był już pewny.

—Wciągnęli mnie na pokład, zawinęli we wspaniałe koce, lekarz wypompował mi ropę z żołądka, wypiłem kieliszek rumu i zasnąłem. Spałem 36 godzin. Nie zapomnę Anglikom nigdy, jak ratowali nas, rozbitków z "Orkana".

Ten sam marynarz dodał po chwili bardzo spokojnie i poważnie:

—Wolałbym jednak, aby mnie wówczas nie uratowali. Wolałbym nie dożyć nowego rozbioru Polski. Teraz trudniej mi będzie ginąć, niż było wówczas. I trudniej mi jest żyć . . .

Krążownik Rzeczypospolitej "Conrad" dostojnie czerpał dziobem falę.

JANUSZ LASKOWSKI



"Krążownik Rzeczypospolitej dostojnie czerpie dziobem falę . . ."

POLSKIE KOMPANIE PPANC. W KAMPANII FRANCUSKIEJ

W numerze 21 "Polski Walczącej" z dnia 26.V.45 zamieszczono artykuł p.t. "Wkład Polski do drugiej wojny światowej". W rozdziale przedstawiającym nasz udział w kampanii francuskiej zauważyłem ze zdziwieniem, że pominięto grupę polskich kompanii przeciwpancernych, które były przydzielone do dywizji francuskich. W związku z tym pozwolę sobie zacytować wyjątek z artykułu p. S. Grucy, zamieszczonego w numerze 13-ym "Polski Walczącej" z dnia 1.IV.44.

"Nie jest to grupa mała. O 11 kompaniach ppanc. udało się zebrać niezbite dane o ich istnieniu i działaniu. Francuski "*Organe de Liquidation d l'Armée Polonaise*" wiedział o 14 takich kompaniach. Dokładnej liczby nie udało się na razie ustalić, w każdym razie należy przyjąć minimum jedenaście kompanii, a to stanowi siłę około brygady. W porównaniu z kilku zaledwie wielkimi jednostkami polskimi, walczącymi współcześnie, jest to grupa znaczna. Można ją traktować na równi z wielkimi jednostkami".

Stanisław Jordanowski

Skrzynka pocztowa

"THE BRADFORD ANGLIO-POLISH TRIO"

Od czasu do czasu słyszymy w naszych audycjach radiowych z Londynu — "polski chór Bradfordczanek". Każdorazowy występ tych miłych panienek — jest witany przez żołnierzy z wielką radością i sympatią. Są to nie tylko ładne głosiki, dobrze zorganizowany i wyćwiczony zespół śpiewaczy, ale co najważniejsze: jest to bardzo cenny dla nas objaw zainteresowanie się Polską, jej językiem i jej kulturą. Nigdy nie przypuszczaliśmy, że Angielki potrafią opanować nasz język tak trudny dla cudzoziemców, a już najmiej spodziewaliśmy się, że potrafią śpiewać prawdziwie po polsku!

Dotychczas myśleliśmy, że Anglicy są zbyt wygodni, aby się uczyć obcych języków, a zwłaszcza języka tak "małej" Polski. W istocie rzeczy — nie mieli nawet potrzeby, gdyż i tak Polacy w Anglii chyba wszyscy dawno już umieją po angielsku. A tymczasem pomyliliśmy się. Spotykamy i tu nawet wielu Szkotów i Anglików, tak oficerów jak i szeregowych, którzy już wcale nieźle mówią po polsku. No, ale te miłe Bradfordczanki — pobiły rekord.

Dlatego też proszę w imieniu Kolegów i swoim, aby Pan Redaktor zechciał im gorąco podziękować od nas żołnierzy z 2-go Korpusu Polskiego we Włoszech. Ale nie, to naprawdę mało tylko za pośrednictwem gazety. Musimy stanowczo osobiście do nich napisać. Oczywiście napiszemy po polsku, choć i my też znamy angielski — a jakże! Tylko najgorzej, że nie znamy ich adresu.

A teraz słów parę bezpośrednio do Nich:

Drogie Girlaski!

Nie macie pojęcia jaka masą oblegamy głośniki, gdy Wy śpiewacie nasze piosenki w radio? To jest coś naprawdę efektownego! I choć Wasz akcent jest trochę inny od czystego polskiego — to przecież mamy wrażenie, że to nie śpiewają: Mary, Jenne, czy Stelle, lecz nasze Marysie, Kazie i Stasie! Gdy śpiewacie: "Dokąd jedziesz Jasiu?" — niejeden Jaś myśli właśnie, że to śpiewa Jego Kasia, którą zostawił w Polsce i . . . łzy mu się kręcą w oczach! Albo "Czerwony pas" . . . Słyszymy wtedy naprawdę i szum Czeremoszu i ochoczą "kołomyjkę", które zostały tam, daleko . . . w Polsce! . . .

Śpiewajcie nam jak najczęściej kochane dziewczynki! Śpiewajcie! Bo śpiew Wasz to nie tylko miły dźwięk dla ucha. To dźwięk i . . . do serca, który nam mówi, że nie jesteśmy sami, że mamy przyjaciół. Nie wątpimy, że Wy należycie do nich!

Ślemy Wam serdeczne pozdrowienie i Bóg zapłać ze słonecznej Italii!

Szczerze oddany

Janek D.

Dear Editor,

Would you be so kind to give our most sincere thanks to our "szara piechota" who wrote such a charming letter from a hospital somewhere on the Suez Canal.

Singing to the boys over the radio was for us one of the happiest experiences we have known; and we hope it proved to them that, however far away in reality, they are very close to us in our hearts and thoughts.

It is our biggest regret that we are unable to sing to them all personally, and if it were only possible for us to do so, we should, indeed, have reached the height of our dreams. However, we give our thanks to Radio Polskie for the opportunity of meeting, even for a few minutes, our Polish friends over the sea, whom we hope will keep us in their thoughts for as long as they will be in ours.

Yours very sincerely,

The Bradford Anglo-Polish Trio /Marjorie, Sadie and Paddy/.

Miss P. Hartley,

10, *Silwood Drive, Harrogate Rd., Eccleshill, Bradford.*

Poradnik żołnierski

Urlopy do Francji.

W związku z informacją w nr. 22 "Polski Walczącej" podajemy do wiadomości, że w międzyczasie ukazał się rozkaz Ministra Obr. Narodowej, regulujący sprawę wyjazdu żołnierzy P.S.Z. na urlopy do Francji.

Wszyscy, którzy mają tam rodziny mogą uzyskać pozwolenia na wyjazd. Formalności są uproszczone i przejazdy kredytowane, tak że żołnierze wszystkich stopni mogą korzystać z możliwości odwiedzenia rodzin.

Kapral Cz.K.

Prawdopodobnie "dodatek za wysługę lat" będzie wypłacony w najbliższych tygodniach, gdyż ostatnio uzyskano już potrzebną na to zgodę Władz Brytyjskich.

Dodatek będzie wypłacony według zasad stosowanych w W. Brytanii i od 1.9.1944.

Ochotnik z Argentyny.

Nie ma powodu martwić się — służba w Polskim Wojsku trwająca więcej niż jeden rok będzie Panu zaliczona przez Władze Argentyńskie do ustawowego okresu służby krajowej w Argentynie.

Siostra P.C.K.

Muszę Panią rozczarować co do przysługujących Pani praw. Siostrom P.C.K., podobnie jak wojskowemu personelowi pomocniczemu, urzędnikom państwowym, przysługuje nie 75% a 50% zniżki kolejowej na podstawie każdorazowega wydawanego im specjalnego formularza. /WZ.O.1798/.

* * *

Zwracamy uwagę Kolegów na sprawę opłat pocztowych za listy i przesyłki. Urzędy pocztowe zauważyły, że żołnierze P.S.Z. masowo opłacają za duże opłaty, nie korzystają z opłat zniżkowych przysługujących wojskowym. Apelujemy do Kolegów, aby we własnym interesie informowali się w urzędach pocztowych lub u podoficerów pocztowych swoich oddziałów we wsszystkich sprawach tego rodzaju, stosowali się ściśle do przepisów i korzystali z przysługujących im praw.

W najbliższym numerze zamieścimy orientacyjną tabelę opłat pocztowych.

P. Alojzy R — ski.

Ogłaszanie przez Polskie Radio krótkich pozdrowień oraz prywatnych informacji na razie jest niemożliwe.

P. Piotr Ch.

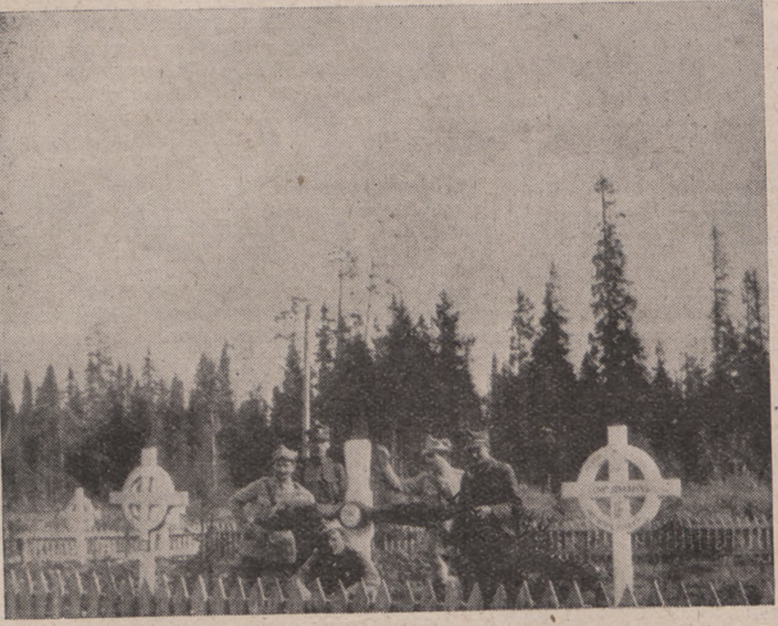
Zupełnie zrozumiała jest troska Pana o dzieci przebywające w Afryce. Ponieważ jednak dzieci są na utrzymaniu Rządu Polskiego i jak Pan sam pisze, korzystają z bezpłatnej nauki, wyżywienia, ubrania i mieszkania, nie ma Pan żadnej podstawy do upominania się o wypłatę dodatku rodzinnego. Przypuszczam, że zdaje Pan sobie sprawę z tego, iż w sumie, to wszystko, co dzieci Pana otrzymują przewyższa bardzo poważnie kwotę, jaka by Panu przysługiwała z tytułu dodatku rodzinnego, gdyby dzieci były na Pana wyłącznym utrzymaniu.

Według posiadanych informacji z obozów w Afryce, dzieci czują się doskonale, opiekę mają bardzo dobrą i naprawdę troskliwą.

Dziękuję za pozdrowienia.

TOWARZYSZ BRONI

Pierwsze loty polskiego lotnictwa



Grób lotniczy ze śmigłem na jednym z cmentarzy w Polsce

5 listopada 1943 roku lotnictwo polskie święciło jubileusz swego ćwierćwiecza. Ówczesny Naczelny Wódz, gen. broni Kazimierz Sosnkowski, wydał z okazji dwudziestopięciolecia naszego lotnictwa specjalny rozkaz, w którym powiedział między innymi:

"Lotnictwo Polskie w ciągu swego dwudziesto pięcioletniego istnienia dobrze zasłużyło się Ojczyźnie. Ideał Polski Lotniczej, któremu służycie, mieści w sobie pojęcie wielkości i potęgi Rzeczypospolitej, wraz z pojęciem przyszłego tej Rzeczypospolitej ładu i porządku, opartego na prawie i sprawiedliwości. Mieści się w tym ideale wyraz łączności ze światem, oddech przestrzeni i swobody. Ludzkość oczekuje od lotnictwa, że swym rozmachem i zasięgiem nada światu po wojnie nowe, piękniejsze oblicze, zapewni długotrwały pokój narodom, i wniesie do międzynarodowego życia nowe wartości ideowe, a przede wszystkim poczucie łączności i jedności świata".

Narodziny polskiego lotnictwa przypadają na dzień 5 listopada 1918 roku. Nocą, z 4 na 5 listopada grupa lotników Polaków opanowuje lotnisko na Lewandówce pod Lwowem. Grupę tą stanowią: Beaurain, Toruń i Bastyr. Tego samego dnia pierwszy samolot o polskich znakach odbywa swój pierwszy lot bojowy.

Rodzi się Polska, a wraz z nią — powstaje również i lotnictwo.

Zdobywamy bazy lotnicze okupantów. W Krakowie, Przemyślu, Lublinie, Warszawie, Poznaniu i Lwowie — znajdujemy 217 samolotów, 232 silniki lotnicze i 16 samochodów. Z całości sprzętu — zaledwie 12 samolotów było w stanie użytkowym. Tak to z 12 samolotami, zdobytymi na okupantach — lotnictwo polskie przystąpiło do dzieła.

W najcięższych latach młodziutkiego Państwa Polskiego, między 1918 a 1920 rokiem, wystawiliśmy 20 eskadr bojowych, które nadrabiały niewątpliwe braki w sprzęcie, wyszkoleniu i zaopatrzeniu — zapałem i siłą woli. W walkach, jakie się wówczas toczyły o wolność i prawo Rzeczypospolitej do wolności — niemały był wkład bojowego poświęcenia samych lotników. Ich groby — a wyrosło tych grobów wiele, bardzo wiele — znaczone były na cmentarzach polskich krzyżami ze śmigłem lotniczym.

Po zakończeniu wojny z Rosją nastąpiła pierwsza reorganizacja polskiego lotnictwa. Ilość eskadr zmniejszono do 13. Rozpoczęto pracę zasadniczą, krzewiąc w młodym pokoleniu ideały lotnicze. Wydało to po latach — plon więcej, niż stokrotny.

We wczesnym okresie polskiego lotnictwa, w pierwszych bojach o wolność Rzeczypospolitej — zapisała się nieśmiertelnymi zgłoskami grupa lotników amerykańskich z tak zwanej Eskadry Kościuszkowskiej. Sporo z tej gromady śpi snem wiecznym na lwowskim cmentarzu. Lecz duch i tradycja żyje. Tradycje Eskadry Kościuszkowskiej z lat dawnych przejął obecny, sławny Dywizjon 303, o czym zresztą szczegółowo dowiecie się z omówień następnych.

Eskadra Kościuszkowska walecznie wsławiła się podczas odwrotu naszych wojsk z pod Kijowa. Zmieniła w tym okresie 13 lotnisk polowych. W czasie 682 godzin wykonała 462 loty na froncie.

Wśród poległych na polu chwały lotników eskadry — znajdziecie między innymi i trzech lotników amerykańskich. Oto ich nazwiska: kpt-pilot Arthur Kelly, kpt-pilot MacCallum, por-pilot George Graves. Były też i straty wśród lotników polskich, należących do tej eskadry. Jedni i drudzy leżą na cmentarzu wiernego Polsce miasta Lwowa.

Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej

Czytacie coraz częściej w gazetach doniesienia o wielkiej liczbie polskiej ludności cywilnej odnajdywanej na terenach niemieckich, okupowanych przez siły sojusznicze. Są to masy przymusowych uchodźców polskich.

Zjawisko uchodźtwa polskiego w czasie tej wojny powtarza się raz po raz.

Jesienią 1939 roku, pierwsi uchodźcy polscy znaleźli się w krajach neutralnych, sąsiadujących z Polską, jak Węgry, Rumunia, Litwa i Łotwa.

Częściowe zwolnienie Polaków, wywiezionych do Rosji, przeprowadzone w latach 1941 i 1942 podniosło liczbę. Uchodźtwo z Rosji składa się wyłącznie z kobiet i dzieci, oraz starszych mężczyzn, niezdolnych do służby wojskowej. Zostało ono osadzone w tymczasowych osiedlach polskich w Indiach, na obszarze Afryki: w Rodezji Północnej, Kenyi i Tanganyice. A nawet i w Meksyku.

Nad tą całą ludnością polską, rozproszoną po wielu częściach świata, z utęsknieniem wyczekującą powrotu do swej polskiej ziemi rodzinnej, opiekę sprawuje z ramienia Rządu R.P. Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej. Tam wszędzie, gdzie podczas wojny znalazł się polski uchodźca, tam również swymi agendami dotarło to Ministerstwo, zakładając delegatury w Portugalii, Hiszpanii, Szwajcarii, Palestynie, Persji, Indiach, Afryce Wschodniej i Meksyku.

Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej zajmuje się opieką nad inwalidami wojennymi, opieką nad całością uchodźtwa polskiego, rozsianego po świecie. Jak również — przygotowaniem zasobów pomocy dla ludności w Polsce, po przywróceniu Krajowi niepodległości.

Nas, żołnierzy, jak najżywiej obchodzi opieka nad inwalidami.Ześrodkowuje się ona w specjalnym dziale Ministerstwa "Opieki nad zwolnionymi z Polskich Sił Zbrojnych". Na terenie Szkocji, w Glasgow, Ministerstwo prowadzi "Ośrodek szkolenia i pracy polskich inwalidów wojennych." Kolegom naszym, którzy w wyniku działań wojennych stali się inwalidami Ministerstwo zabezpiecza środki do życia, oraz w wypadkach umożliwiających przygotowanie do pracy cywilnej, pomaga inwalidom w zakresie obznajmienia się z umiejętnościami fachowymi, mogącymi przydać się mu w poźniejszym życiu.

Obecnym kierownikiem Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej jest premier Rządu R.P. p Tomasz Arciszewski.

POMÓŻ POLAKOM W NIEMCZECH

Ubrania, obuwie, przedmioty codziennego użytku:
Polski Czerwony Krzyż
43, *Belgrave Sq., London, S.W.*1.

Książki, broszury, pisma i datki na ich zakup:
Światowy Związek Polaków
38, *Wilton Crescent, S.W.*1.

Dary pieniężne /ewentualnie za pośrednictwem "Polski Walczącej"/
Polski Czerwony Krzyż
43, *Belgrave Sq., London, S.W.*1.

Osiem funtów szkockich

Funt, który w każdym wypadku liczy 20 szylingów, wypuszczany jest w Szkocji przez osiem banków. Czyli: stale w obiegu krąży osiem odmiennych funtów szkockich o jednakowej wartości.

Funta szkockiego nie należy utożsamiać z funtem angielskim o kolorze ciemno niebieskim, puszczanym w obieg przez *Bank of England*. Przed paru laty, gdy żołnierz polski przyjeżdżał do Londynu na urlop, i płacił "szkockimi" funtami, to potrącano mu, według dawnego zwyczaju, sześć pensów, powiedzmy, na koszta manipulacyjne.

Najczęstszym funtem skockim jest papier, wydany przez powstały w roku 1695 *Bank of Scotland* w Edinburghu. Funt ten drukowany jest w kolorze brązowym, a na odwrocie szarym.

Często również do rąk twych docierają inne szkockie funty z Edinburgha. Są to papiery następujących instytucyj bankowych, mających prawo emisji i siedzibę w stolicy Szkocji: *The National Bank of Scotland, The Commercial Bank of Scotland, The Royal Bank of Scotland*, oraz *The British Linen Bank*. Kursuje również papier bankowy, wydawany w Edinburgh lub Glasgow. Jest to funt *The Linen Bank of Scotland.*

Jedynym funtem, bitym wyłącznie w Glasgow jest emisja *The Clydesdale Bank,* wielkiej instytucji bankowej, mającej swoją siedzibę w największym mieście kraju. Przez miasto Glasgow, jak wiadomo, przepływa rzeka Clyde, wymieniona w nazwie banku.

Daleka północ Szkocji ma również własny bank emisyjny, zwany *North of Scotland Bank,* z siedzibą w Aberdeen. Ten północnoszkocki funt jest odrębny nie tylko położeniem geograficznym instytucji emisyjnej, ale i rysunkiem, bardzo regionalnym, oraz użyciem na banknocie koloru jaskrawo żółtego.

Większość tych ośmiu szkockich funtów "kocha się" w kolorze niebieskim, z wyjątkiem emisyj *The Bank of Scotland* i *The National Bank of Scotland.*

Wartość wszystkich szkockich funtów jest jedna i ta sama. Po prostu—są to funty. Ale tradycji staje się zadość, gdy widzisz osiem różnych funtów z Edinburgh, Glasgow i Aberdeen.

W Polsce—mieliśmy jeden bank państwowy, Bank Polski, który tylko miał uprawnienia emitowania banknotów obiegowych. W niewielkiej Szkocji, kraju, w którym obecnie się znajdujemy, oprócz najstarszego Banku Szkocji—*The Bank of Scotland* — jeszcze dodatkowo siedem dalszych banków korzysta z prawa emisji, z prawa wypuszczania pieniędzy w świat.

W oddziałach, które nie otrzymują dostatecznej ilości egzemplarzy "Polski Walczącej", należy odciąć tę kartę i umieścić na ścianie w widocznym miejscu. "Towarzysz Broni"' winien docierać do wszystkich.

Polesie

Jak sama nazwa wskazuje — Polesie jest krainą pełną lasów. Lasy, Prypeć z jej dopływami, jeziorka i moczary — tworzą obraz tej wyjątkowej ziemi Rzeczypospolitej.

Polesie, które po roku 1918 znalazło się w obrębie Państwa Polskiego, było zaledwie zachodnią częścią historycznej krainy tej nazwy, którą historyk charakteryzuje: "Na północ od Wołynia obniża się teren znacznie, tworząc zagłębie Polesia, wydłużone w kierunku równoleżnikowym. Granicę tego kraju od zachodu tworzy dział wód między Prypecią a Bugiem, od wschodu zaś stoki Płyty Rosyjskiej. Od garbów Wołynia na południu rozszerza się Polesie po garby Litwy na północy. Cała ta nizinna kotlina przechylona jest ku wschodowi wzdłuż biegu Prypeci, głównej rzeki kraju, której koryto jest zarazem najniższą brózdą tego zagłębienia. Polesie jest zupełną równiną, nadzwyczaj silnie nawodnioną i zabagnioną, a przy tym lesistą. W środku kraju, zwłaszcza nad górną Prypecią i nad Jasiołdą, znajdują się liczne, drobne jeziorka".

Siedzibą województwa Poleskiego jest Brześć nad Bugiem. Mieści się w nim również i Dowództwo Okręgu Korpusu. Miasto znane z traktatów podziałowych Polski, zarówno przy końcu pierwszej wojny światowej, jak i na początku drugiej wojny światowej. W Brześciu ustalono linię demarkacyjną ministrów Ribbentropa i Mołotowa, linię podziału Polski między Niemcy i Rosję. Ostatnio, Brześć nad Bugiem liczył 50.700 mieszkańców. Następnym co do wielkości miastem województwa jest Pińsk, położony nad rzeką Piną, liczący 31.900 mieszkańców. W nim rezydują ordynariusze diecezyj: rzymsko-katolickiej i prawosławnej.

Nic może bardziej niż Polesie nie ukazuje palącej dla Polski potrzeby dłuższego, spokojniejszego okresu na twórczą działalność ludzką. Polesie, województwo gospodarczo najuboższe, było zarazem terytorialnie województwem największym, obejmując 36,000 kilometrów kwadratowych powierzchni, o ludności zaledwie przekraczającej 1,132,000 osób.

Polesie jest krainą wspaniałych lasów. Znajduje się tu zwierzostan, jakiego już dawno nie ma w innych częściach Polski. Sławne są tutejsze łosie, a i żubry w graniczącej z Polesiem Puszczy Białowieskiej — mają swoją historię.

Znakomity pisarz, Józef Weyssenhoff, poświęca tej krainie jedną z najbardziej zachwycających swoich powieści. Nosi ona tytuł "Puszcza". Oto fragment z opisu polowania na głuszca:

"*Tyk - tyk - tykut, tykut - tykut - szcze - cze - cze - cze - cze - ta - zska* . . .

Więc to jest słynna pieśń? — głucha, drewniana — jakaś dziwna!

Wiedział z opisów, że pieśń ta składa się z trzech motywów: z bąkania, telękania i czyhitania, że tylko podczas ostatniego kogut doszczętnie głuchnie, i wtedy można skakać, łamać gałęzie, nawet strzelić bez zwrócenia uwagi głuszca. W przerwach i podczas bąkania trzeba się zachowywać jak pień leśny, gdyż wielki książę puszczy, na śmierć zacietrzewiony w swej pieśni miłosnej, czujny jest w przerwach i nieufny, jak żaden z mniejszych uskrzydlonych matadorów.

Po paru jeszcze wspólnych posunięciach Kotowicz oświadczył, że sam już potrafi skakać, niech tylko Moroz idzie naprzód. Kilka słów niezbędnych do tego porozumienia przekroczyło jednak może granice "pieśni", bo umilkła na kilka minut. Ale myśliwi stali osłonięci choiną i opodal jeszcze od głuszca, więc śpiewak namyślił się po przerwie i ostrożnie przebąknął — raz.

Kotowicz już się nachylił do skoku, ale go Moroz zatrzymał groźną miną. Dopiero, gdy się znowu głuszec rozczyhitał, skoczyli obaj i zbliżyli się do głuszca o kilka posunięć, teraz już nie po trzy, ale po dwa kroki.

Wtem w rytmicznej harmonii pieśni i podkradów zgrzytnął fałsz tak maleńki, że nie obudziłby chyba czujności lisa: Kotowicz, kończąc skok, stąpił na suchą gałąź, która trzasła między mchem a butem — już po pieśni. Moroz drgnął i skamieniał, przeczuwając nieszczęście. Jakoż zamiast nowej pieśni, spodziewanej od choiny, gdzie już czuli głuszca myśliwi, spłynął wśród igliwia cień ogromny, rozskrzydlony, i oddalił się z lekkim łopotem".

W powyższych słowach Weyssenhoffa jest dusza Polesia, ziemi ubogiej, lesistej i moczarnej, ale dla nas bez ceny, bo — polskiej.



Typowy krajobraz poleski

NA FUNDUSZ GEN. BÓR-KOMOROWSKIEGO

Szanowny Panie Redaktorze,

Czytając codzienną prasę, słuchając komunikatów i sprawozdań radiowych szczerze się cieszę, że ton prasy od jakiegoś czasu jest inny.

Prasa i radio informują nas o uwolnionych z pod piekła niemieckiego Rodakach, dzieciach, kobietach i mężczyznach, podając równocześnie do wiadomości czytelnika i słuchacza o rozlokowaniu tych Rodaków, na uwolnionych terenach przez Wojska Sprzymierzone, w Szwecji, gdzie społeczeństwo tamtejsze tak szlachetnie i wielkodusznie przyjęło Polaków.

Bardzo wiele komunikatów radiowych słuchaliśmy z wielkim napięciem w oczekiwaniu na wiadomość o losach bohaterskiego obrońcy Warszawy gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego. Wiadomość o oswobodzeniu go przez Sprzymierzonych obiegła lotem błyskawicy wszystkie obozy wojska polskiego i środowiska polskie w Anglii.

Radość była tak wielka, że nie jestem w stanie ją zwykłymi środkami pisarskimi podać do wiadomości innym. Potrzeba będzie specjalnych środków pisarskich, by radość utrwalić na papierze i podać ją do wiadomości osobom, które w owym czasie były zdala od Polskich Sił Zbrojnych.

Chcąc dać wyraz mej niekłamanej radości z szczęśliwego ocalenia, dziesiątek tysięcy Polaków uwolnionych z obozów niemieckich jak: Sanbostel, Lubeki, Marienbadu i innych miast i miasteczek składam na Fundusz im gen. Bora-Komorowskiego z moich skromnych poborów kwotę £1 /jeden funt/ z przeznaczeniem na pomoc pilnie potrzebującym Rodakom.

Wiem, że jeńcy wojenni polscy w Niemczech pomocy tej potrzebują, czekają na ratunek ze strony swoich Rodaków z Anglii, z Ameryki i ze wszystkich stron skąd nadejść może pożądana pomoc.

Zaopatrzenie materialne jest bardzo ważne, zaopatrzenie duchowe jest jeszcze ważniejsze i dlatego niech mi wolno będzie wezwać z tego miejsca wszystkich kolegów frontowych — do naśladownictwa.

Kramek Edward, inwalida

Na Polaków uwolnionych z Niemiec: £565

Niniejszym załączam £30 /trzydzieści funtów/ na fundusz pomocy Polakom oswobodzonym z obozów niemieckich.

Ppłk. S.P.

* * *

Na rzecz Polaków uwolnionych z terenu Niemiec żołnierze Kompanii 2 C.K.M. przesyłają kwotę £9.12.0 /dziewięć funtów, dwanaście szylingów/.

Oficer Opieki n/Z
por. A.W.

* * *

Dear Sir,

Please find enclosed a cheque for ten guineas, which is sent from the Largo and Lundin Links group of the Scottish-Polish Society, to be used on behalf of Polish prisoners liberated from German camps.

Yours faithfully,
Agnes L. Somerville,
Hon. Secretary and Treasurer.

* * *

W załączeniu przesyłamy £2 sh.12 /dwa funty szter., dwanaście szylingów/ i 103 marki niem. /sto trzy marki niemieckie/ — zebrane od podoficerów, szeregowców i urz. cywilnej na pomoc Polakom w Niemczech.

Komisja Regulaminowa Łączności
P.93, Polish Forces

* * *

Przesyłam na rzecz pomocy Polakom w Niemczech £1 sh.13 /jeden funt, trzynaście szylingów/, zebrane w czasie imprezy zorganizowanej przez panie szkockie w świetlicy żołnierskiej.

Of. Op. Sp. Ośr. Zap.

* * *

W załączeniu przesyłam British Money Order na kwotę £5.16.0 /pięć funtów, szesnaście szylingów/, zebraną przez szeregowych IV Kursu Magazynierów Technicznych w Mansfield w dniu 6.VI.1945, na Polaków uwolnionych w Niemczech.

K. ppor.

* * *

W załączeniu przesyłam Money Order na kwotę £5.9.0 /słownie: funtów pięć, szylingów dziewięć/, jako dochód z imprezy żołnierzy Ośrodka Ćwiczebnego Uzdrowieńców z prośbą o przekazanie na pomoc Polakom uwolnionym w Niemczech.

Oficer Opieki R. ppor.

* * *

W dniu imienin Drogiej Naszej Komendantki p. por. Heleny Paszkowskiej składamy w dowód głębokiego szacunku i wdzięczności kwotę £8 /osiem funtów/ dla Polaków oswobodzonych z obozów w Niemczech.

Ochotniczki Polish Squadron
Station Wilmslow

* * *

Przesyłam w załączeniu kwotę £1 /jeden funt/ na pomoc Polakom wyzwolonym w Niemczech. Powyższa kwota ofiarowana przez dwuch pacjentów tutejszego szpitala W-r i Kory.

Plut. S.W.

* * *

Dear Sir,

I enclose a cheque for £3.15.0, which I received from Berwickshire High School, Duns, for teaching Polish classes during last session 1944-45.

I ask you to transfer this money to help liberated Polish prisoners of war in Germany.

Lieut. K.

* * *

W załączeniu przesyłamy "Postal Order" na sumę £2 sh.10 /dwa funty i dziesięć szylingów/ z prośbą o przeznaczenie kwoty tej na fundusz "Polaków Wywiezionych do Niemiec".

Ośr. Wyszk. Podof. W.O.
przy Dtwie I. Korpusu

* * *

W załączeniu przesyłam czek na £56.16.0 na pomoc dla Polaków w Niemczech. Suma ta została zebrana przez członków załogi s/s "Narocz".

Proszę umieścić nazwiska ofiarodawców według załączonej listy gwoli zachęty dla innych kolegów-marynarzy.

Chciałbym dodać, że jest to inicjatywa prywatna załogi, bez żadnego nacisku "Z góry".

Z poważaniem

M. Hawrylkiewicz

Lista ofiar na fundusz pomocy dla Polaków w Niemczech:

St. Oficer L.S.	£10. 0.0
2-gi Oficer W.B.	£2. 0.0
3-ci Oficer Br.	£5. 0.0
St. Mechanik K.S.	£1. 0.0
2-gi Mechanik L.W.	£2.16.0
3-ci Mech. J.K.	£3. 0.0
Radiotelegraf. K.J.	£5. 0.0
Bosman J.L.	£1. 0.0
St. Kucharz S.L.	£6. 0.0
Steward M.M.	£5. 0.0
St. marynarz Z.P.	£1. 0.0
Kapitan M. H.	£15. 0.0
Razem	£56.16.0

zebrał

M. Miszczak

* * *

Przesyłając w załączeniu "Money Order" na kwotę £11 sh.9 d.1½ /słownie: funtów jedenaście, szylingów dziewięć, pensów półtora/ zebraną wśród szeregowych i oficerów Szkoły Gazowej C.W.Piech. z prośbą o przekazanie powyższej sumy do P.C.K. z przeznaczeniem dla Polaków zwolnionych z niemieckich obozów koncentracyjnych i jenieckich.

Jednocześnie proszę o powiadomienie P.C.K., że w następnym miesiącu Szkoła Gazowa będzie mogła przysłać prawdopodobnie kwotę pieniężną w tej samej wysokości.

Komendant Szkoły
/—/ B. ppłk.

* * *

P. Marian Smarzewski honorarium nieprzyjęte z Redakcji "Polski Walczącej" £2 /dwa funty/ przeznacza na Polaków w Niemczech.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £151.2.1½ /słownie: sto piędziesiąt jeden funtów, dwa szylingi i półtora pensa/ R.M.103, przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £565.2.1½ /słownie: pięćset sześdziesiąt pięć funtów, dwa szylingi i półtora pensa/.

NA FUNDUSZ 14 WLKP. DYW. PIECH.

W załączeniu przesyłam P.O. na kwotę £1 sh.12 zebranych do puszki w księgarni firmy "ORBIS" w Edynburgu na "Fundusz Wdów i Sierot po poległych Żołnierzach 14 Wielkopolskiej Dywizji Piechoty".

Zofia Żardecka

POSZUKIWANIA

Uchodźcy polscy w Haldern /adres: Haldern D.P. Camp No. 414 — Germany/ poszukują swoich:

1. Jadwiga Bitner z Warszawy poszukuje męża: Józef Bitner, ur. 1899 w Dąbrowie /Kaliskie/. Ostatnia o nim wiadomość z obozu XVII A — Baden /Arbeits Lager/.

2. Maria Pilarska z Kątów Węgierskich koło Warszawy poszukuje: brata: sierż.-pilot Władysław Pilarski z Legionowa, ur. ok. 1903 r.

3. Genowefa Gardyza poszukuje brata: Stefan Gardyza, ur. 1915 z Włocławka. Ostatnia wiadomość z jakiegoś karnego lagru.

4. Olga Lechota ze wsi Złotkie koło Muszyny, p. N. Sącz, ur. 1912 poszukuje brata: Jana Lechota — przebywa w Stanach Zjednoczonych; i siostrę: Anastazja Prisłowska — Stany Zjednoczone.

5. st. ogniomistrz Jędrzejczyk Franciszek ze Szkoły Podchorążych Art. w Toruniu poszukuje kolegów.

N. Zofia Płoska z córką Krystyna. Warszawa, ul. Miodowa, poszukuje męża: Antoni Płoski; i siostrę:

Władysława Krasnowska z Baltimore, U.S.A.; następnie brata: baltmistrz Edward Sobiszewski — ostatnia wiadomość z jego występów w Australii. W czasie koronacji występował w Londynie; oraz krewnych męża:

Jan Płoski, Aleksander Kołakowski, Józefa Żotke.

TADEUSZ HORKO poszukuje przyjaciół i znajomych, którzy mogliby udzielić mu jakichkolwiek informacji o losach jego rodziny w okresie Powstania Warszawskiego i po Powstaniu. Wszelkie wiadomości proszę łaskawie kierować na adres, 9a, Kensington Court Mews, London, W.8.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY POKÓJ POTRWA TRZY TYSIĄCE LAT . . .

W LONDYNIE W CITY



—Tylko uchwyć ruiny domów. Chcę to zdjęcie posłać do domu. Niech zobaczą, że walczyłem w Niemczech . . .

JEST PRZYCZYNA

—Pan jest pewny, że komisarz Mołotow nie mówi po angielsku?

—Jestem święcie przekonany! Gdyby umiał — to dogadałby się w San Francisco! . . .

CZERWONA ŁĄCZKA

W pewnym obozie powstał mały, chór żołnierski. Zbliża się występ chóru przed publicznością szkocką. Na trzy dni przed wystąpieniem toczą się narady nad programem. Jedni chcą, ażeby chór zaśpiewał "Czerwone jabłuszko", drudzy — "Zieloną łączkę" . . .

Spór dociera aż do dowódcy, który wydaje wyrok Salomonowy: "Wysłać fonogram — jutro niech się zamelduje referent muzyczny J.W.W.B. — on wie lepiej, czy mają zaśpiewać "Zielone jabłuszko" czy "Czerwoną łączkę" . . . Od tego przecież tam siedzi! . . ."

DOBRE OKREŚLENIE

Do jednego z popularnych fotoreporterów w wojsku, zwraca się pewien cywil:

—Panie ogniomistrzu! . . .

—Ja nie jestem ogniomistrzem — ja jestem sierżantem! . . .

—*Sorry*! Myślałem, że pan jest ogniomistrzem, bo tyle pan strzela zdjęć . . .

JASNY DOWÓD



—Panie kapitanie, pan stanowczo musi pojechać na urlop i odpocząć sobie. Pan się przemęcza! . . .

—O tak, ja dużo pracuje umysłowo!

—Właśnie zauważyłem! Ma pan całą czapkę przepoconą . . .

W JEDNYM Z OBOZÓW

—Feluś, ale nasi masarze teraz robią "majland"!

—Na czym?

—Nie słyszałeś, że będą wybory w Anglii! Na kiełbasie wyborczej! . . .

SOUVENIR

Podobno jeden z pracowników "Rubensa", żegnając piękny gmach, pozostawił kartkę na drzwiach: "Szukasz ciszy, wstąp na chwilę".

LEPIEJ PÓŹNO NIŻ NIGDY . . .

—To bardzo ładnie, że Rzym potępił hitleryzm — tylko szkoda, że dopiero po kapitulacji.

—Mój panie, nigdy nie jest za późno — historycy i po stu latach będą o tym mówili i pisali . . .

NASI W LONDYNIE



—Feluś, czyj to może być pomnik?

—Jakto czyj! Churchilla!

Przecież widzisz — najpierw jak był mały i stał na górze w 1940 r. — a teraz kiedy jest na dole! . . .

PRZED WYBORAMI W ANGLII



—Niby się mówi o wolności w Anglii, swobodzie przekonań, demokracji, a nie wolno rozbijać wieców . .

PO OPUSZCZENIU "RUBENSA"

Mówią, że służba hotelowa "Rubensa" na wzór holenderski wydrukowała kartki:

"Dziękujemy Wam Polacy" . . .

AKTUALNY SLOGAN

Pewien polski proboszcz w Ameryce, wywiesił taki napis: "Jak ty nie dasz, to kto da?"

Ten slogan powinien wisieć w każdym ministerstwie, urzędzie, dowództwie, kasynie z dopiskiem:

"Jak ty nie dasz, to kto da na Polaków w Niemczech".

Tekst i rysunki: TONY

SPIS RZECZY:

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową w Wielkiej Brytanii i zagranicą 1 sh. 6 d., kwartalnie 4 sh. 6d. Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na "POLSKA WALCZĄCA" pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portu gal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.